

DZIENNIK POKŁADOWY (wersja I Oficera)



06.07.2014

Koniec etapu przygotowań. Startujemy do przygody. Umawiamy się, że wyruszymy o 4.30 . (jest to termin kompromisowy wynikający z braku Klimy w moim autku). Oczywiście mamy co najmniej pół godziny poślizgu, ale jest to do przyjęcia zakładając, że Kapitan startuje bez zerowej Kawy.

Droga do godziny około 10-ej mija nam komfortowo –jedziemy autostradą . Od Łodzi już jest trochę gorzej, temperatura daje nam się we znaki mimo, że robimy sobie postoje co 50- 100 km.

Do Przemyśla dobijamy w godzinach popołudniowych, kwaterujemy się w Europejskim. Prysznic, krótka drzemka i idziemy na Starówkę. Tu wreszcie odpoczywamy, atmosfera relaksu zupełnego. Piękny ciepły wieczór, atmosfera starego miasta, specyficzny gwar – tak – zaczynamy wypoczywać.

Wracamy późno, próbujemy jeszcze skorzystać z oferowanego Wi-Fi, ale się nie udaje. Korzystamy z własnego (Stefana) lecz nie długo jesteśmy w stanie pracować. Padamy na pysk – idziemy spać.

07.07.

Budzę się rano, uzupełniam zaległą pocztę do Taśki z ostatnich chwil przed startem. Budzi się Stefan.

Chwilę pracujemy na kompach , następnie pakujemy się i idziemy załatwiać zaległe sprawy tj. kartę do trackera i ponownie zainstalować przypadkowo usuniętą aplikację na tablecie Stefana. Po tym wszystkim jemy śniadanka w barze koło dworca, kupujemy bułeczki i drożdżówki i wyjazd w kierunku Sanoka. Szukamy miejsca na wodowanie Tratwy. Odwiedzamy wszystkie przeprawy promowe i w końcu dojeżdżamy do Sanoka. Okazuje się, że na dzień dzisiejszy jedynym sensownym miejscem do wodowania jaki znaleźliśmy jest przeprawa promowa w Krzemienicy – ostatni prom przed Sanokiem.

Ale jeszcze przed opuszczeniem Przemyśla sprawdzamy przepławkę – masakra – choć mamy jakiś plan i decydujemy się udać jednak w górę rzeki.

Woda w Sanie jest fatalnie niska, okazuje się, że opada z każdym dniem. Jeszcze kilka dni temu nie byłoby problemu wyruszyć z Sanoka (gdyby udało się tam gdzieś zwodować) – teraz trzeba o tym zapomnieć. Miejscowi mówią, że sytuacja może się w każdej chwili zmienić, my jednak nie

możemy na tyle ryzykować, by zakleszczyć się w Sanoku i czekać na przybór wody. Musimy wybrać opcję wróżącą choć znaczny stopień prawdopodobieństwa realizacji, nie możemy z góry skazywać się na polegnięcie. Stąd nasza decyzja o wodowaniu przy promie w Krzemiennej, choć to wcale nie oznacza wykluczenie dalszych problemów.. późnym wieczorem szukamy noclegu

... brak od 8-07 do 11-07

dzień 7 sobota 12-07-2014

Budzimy się w miarę wcześnie. W nocy nadal lało, wstawałem by sprawdzić czy wszystko OK. Woda nadal się podnosi, ale wszystko jest pod kontrolą. Przekładam tylko cukier w szafce i podkładałam garnek, bo budka nam trochę podcieka...

Po wspólnym śniadaniu kajakarze i my szykujemy się do startu.

Wspólne śniadanie przed wyprawą.

Ostatnie czynności przed wyruszeniem, ja jeszcze na chwilę wyskakuję rowerem do pobliskiego sklepu aby dokonać niezbędnych zakupów. O godz. 12-22 podnosimy cumy. Żegnamy obsługę baru, Przewoźnika, wręczamy im nasze materiały reklamowe.

Nurt jest bardzo wartki, idziemy na wiosłach i pychach. Silnik zamontowany, ale podniesiony, nie używamy go. Po drodze piękne pejzaże niestety nie mamy czasu ani możliwości ich kontemplować, znów brakuje tego trzeciego. Nas dwóch musi naprawdę się napracować by nie szarpać się po krzakach. Wybaczcie więc jakość fotek, większość z nich była robiona w pośpiechu i pod presją, okupione później podwójnym wysiłkiem naprowadzenia tratwy na właściwy kurs. Odstąpione odcinki, gdzie hulał spory wiaterek szczególnie dały się nam we znaki. Znów targaliśmy się po krzakach, w jednym momencie groziła nam nawet utrata obu rowerów !!! Skończyło się na strachu, były dobrze zamocowane. Na pokładzie został bałagan, kupę liści i połamanych gałęzi. Pychy i wiosła muszą być w nieustannym użyciu. Płyniemy raz dziobem raz rufą, a często i bokiem, już nie walczymy o to by był to przód. Jednak jakoś sobie radzimy (Kto jak nie My?).

Kapitan nabiera pewności siebie. Po drodze nieliczni działkowicze serdecznie nas pozdrawiają. Mijamy kolejno DYDNIĘ i DYNÓW, po drodze promy, kładki i most...

W Dynowie uroczystości rocznicowe miejscowej kolejki, dochodzą odgłosy muzyki. Ci co nas zauważają, pozdrawiają i zadają standardowe pytania, skąd, dokąd, dlaczego itp. Na horyzoncie na środku rzeki wysepka i mielizna. Ostrzegam Kapitana o konieczności wcześniejszego naprowadzenia Tratwy na właściwy tor w celu jej ominięcia. Zwłoka w podjęciu decyzji powoduje, że lądujemy na mieliznie. (Szczęście, że to nie góra lodowa). Z brzegu gapie podglądają nasza szamotaninę z napierającym nurtem spychającym nas coraz głębiej na mieliznę. Wpierw usuwamy kawał pnia, który całkiem blokuje nam możliwość manewru, następnie wypuszczamy nasze podwozie, wchodzimy do wody.

Targanie przekoszonej tratwy daje powolne efekty, dzięki temu, że z jednej strony wartki nurt zahacza o kawałek tratwy. Szarpiemy, pchamy, w końcowym efekcie po parę centymetrów tratwa przesuwa się w kierunku głębszej wody. W końcu porywa nas wartki nurt - znów płyniemy. Gapie zostają z tyłu. Staramy utrzymać się w jego środku, ale Stefan łamie jeden z dwu naszych pychów. Trudno idziemy trochę na żywioł. Myślimy o postoju, ale tu nie ma żadnych zatoczek, ostróg, niczego, co daje jakieś schronienie przed wartkim nurtem. Stefan daje komendę rzuć kotwicę aby spowolnić ruch tratwy. Z oporami, ale robię to, jestem przekonany, że na takiej rzece i przy tej prędkości nie jest to wcale bezpieczne. Do tego popełniam podstawowy błąd, rzucam kotwicę nad barierką.. Efekt jest taki, że za chwilę mamy pogiętą, prawie urwaną tylną lewą barierkę. Szczęście, że zdążyłem odblokować i wyciągnąć kotwicę, przed całkowitym wyrwaniem barierki. Nie ma rady płyniemy dalej. Postanawiamy zatrzymać się w okolicy BACHÓRZA, licząc, że będzie tam dogodniejsze miejsce. Jednak prąd jest tu nadal silny i nie ma dogodnego miejsca. Stefan podejmuje ponowną decyzję o wyrzuceniu kotwicy. Po moich doświadczeniach mam obawę co do wytrzymałości tego cienkiego łańcuszka. Ale stało się, kotwica została rzucona przez Kapitana, tym razem dobrze. Tak aby nie haczyła o barierki i przywiązana do najmocniejszego elementu tratwy. Czujemy mocne szarpnięcia. Kotwica skacze po kolejnych kamieniach, czasem prawie wyskakuje z wody, nie zdążyłem krzyknąć aby ją wyciągać, słyszymy trzask i Stefan melduje - nie mamy kotwicy i większości łańcucha....

Pędzimy z nurtem w dół rzeki właściwie nie bardzo wiedząc co teraz począć. Myślimy coś o nocnych wachtach, no bo co w tych warunkach począć? Po jakimś czasie rzeka się jednak trochę rozszerza i nurt zwalnia. Zauważamy minimalną wklęsłość na lewym brzegu. Obieramy to na cel naszego cumowania. Teraz los nam sprzyja, udaje się chwycić za grube drzewo, gdy przez chwilę Tratwa dociskana jest do brzegu. Stoimy przy stanowisku wędkarskim, dwaj panowie nie mają do nas pretensji widząc nasze zmagania z żywiołem, mówią, że ryby i tak nie brały. Cumujemy. Naprawiamy część szkód i sprzątam pokład. Coś trzeba teraz zjeść, ale nie ma siły na gotowanie, serek z cebulką musi wystarczyć. Na szczęście mamy jeszcze jogurt, więc idzie to jakoś przełknąć. Muszę dodać, że na pewnym etapie zmagania z nurtem próbowaliśmy użyć silnika, ale okazało się, że złośliwość losu nie ma litości i zacięła się linka sterownicza silnikiem. Kłapa, w czasie płynięcia nie ma mowy o żadnej naprawie. Dopiero na postoju używając różnych zabiegów udało się nam odblokować linkę, która spadła (nie sama i nie przez przypadek) z rolki prowadzącej. To już jest coś i trochę jesteśmy podbudowani. Teraz wiemy też, że na pokładzie nie może być żadnych luźnych niepotrzebnych do płynięcia rzeczy, aby nie było tak, że zażywam przypadkowej kąpieli w misce z wodą w chwili gdy trzeba pilnie wykonać manewr naprowadzania tratwy....

Teraz spać- reszta nie jest ważna, jesteśmy zacumowani- o resztę będziemy martwić się jutro... W nocy wstaję sprawdzić stan wody, bo tutaj w ciągu nocy może się zdarzyć, że obudzimy się na Tratwie, która stoi na stałym lądzie. San to bardzo kapryśna rzeka...

niedziela 13-07-2014

Wstajemy około 7 –ej. Codzienna krzątania. Na śniadanie jajka na miękko.

Sprzątam pokład- czytaj- usuwamy wszystkie zbędne rzeczy. Mamy duży problem z pozbyciem się śmieci, nie chcemy nic wyrzucać do rzeki, która i tak ich już dużo niesie ze sobą. Około 10-tej

jesteśmy już gotowi. KAPITAN daje rozkaz wypłynięcia dziś (jako, że niedziela) na silniku. Od miejsca startu płyniemy 'lajtowo' środkiem rzeki. Woda znacznie opadła około 20-30 cm gdyż opadliśmy barierką na wystający kikut jakiegoś drzewa, który musieliśmy wyciąć by się uwolnić od brzegu. Miejscami rzeka spokojna ale są miejsca gdzie występują bystrza, jak na razie pokonujemy je bezproblemowo.

Zupełny relaks – URLOP. Schodki zaczynają się za DUBIECKIEM, za kładką wpadamy na pojedynczy podwodny głaz, dławi się silnik i gaśnie. Po chwili prąd nas obraca i ściąga z przeszkody. Próba silnika, bo dalej jest na tyle głęboko, że postanawiamy kontynuować dotychczasowy sposób płynięcia. Na jednym z kolejnych bystrzy (wcale szczególnie nie wyglądającym) nie wpadamy na żaden kamień, ale nabieramy drobnych kamieni pod śrubę. Silnik wyskakuje nam w górę i ... gaśnie.

Płynięcie pokonujemy na pychach i wiosłach. Gdy osiągamy odpowiednią głębokość próba odpalenia silnika nie daje rezultatu. Jesteśmy przekonani, że to już jego awaria (wyobrażamy sobie pogiętą powyrywaną śrubę) Zdejmujemy silnik i dokładnie go oglądamy (na zamocowanym nie można zajrzeć do śruby). Okazuje się, że między łopatką a obudową zaklinował się kamień. Po jego usunięciu silnik możemy ponownie uruchomić. Wielka ulga. Teraz wyciągamy już wnioski i co jakiś czas, szczególnie na podejrzanych odcinkach badamy głębokość – gdy maleje- silnik w górę. W ten, może mniej dogodny, ale bezpieczniejszy sposób dopływamy do DUBIECKA. Nad rzeką pustki, płyniemy w korycie okolonym dzikimi chaszczami, ale za nimi piękne widoki – tak jak dzisiejsza pogoda- słońce, cumulusy i tylko lekkie powiewy wiatru. W Dubiecku z lewego brzegu obserwuje nas kilka osób, są bardzo zaskoczeni i życzliwie pozdrawiają, informują o rzece gdzie płynie. Pytają skąd, dokąd płyniemy... 2-3 km za Dubieckiem kolejne bystrze , dość nietypowe, jak dotąd z zasady szliśmy środkiem rzeki, teraz na środku z dala widzimy jakiś kołek, gałąź powalonego drzewa. Chcemy brać je lewą stroną, naprowadzamy się i silnik w górę. Nurt jest bardzo wartki. Pychem i wiosłem utrzymujemy tratwę na kierunku. Niestety, jak na złość jakiś silniejszy podmuch wiatru spycha nas nieubłagane na kłodę. Innej przeszkody prócz tego drewna i burzliwych fal, nie widać. Nasze wysiłki na nic wpadamy bokiem na kłodę.

Boczne uderzenie jest dla nas najgorsze. Opór Tratwy przy takim nurcie bardzo nam zagraża, może nawet złożyć nam Tratwę i nie chcemy nawet myśleć o tym co jeszcze. Nasza biedna budka cała w drgawkach... po chwili orientujemy się w czym problem. Ten kawał pnia po prostu zatrzymał się, na niewidocznych przy tym poziomie wody kamieniach. Zmiana obciążenia na stronach nie skutkuje, podskakiwanie na końcach również. Badamy stan głębokości obok Tratwy, są miejsca, gdzie można stanąć, ale obok zaraz doły. Próbuje odpychać wiosłami, pychem – NIC. Stefan podejmuje decyzję o wejściu do wody na pobliski podwodny kamień. Nurt jest tu jednak silny, więc nie jest tak łatwo. Za pomocą ukośnego już pycha próbuje coś wskórać. Nic. Daję przeciwwagę i podskakuję na drugim końcu Tratwy tak by nurt nas obrócił. Po chwili naporu Stefana czuję, że coś się rusza. Stefan szybko wskazuje na Tratwę, zaczynamy się obracać. Ale w trakcie tego obrotu dzieje się coś złego, słyszymy głuchy trzask i Tratwa wjeżdża nam przednim pomostem (prawym bokiem) na jakiś głaz, tylko, że my go jeszcze nie widzimy. Cały przód tratwy pieje nam do góry a rufa jest prawie podtopiona. Nadal stoimy, tylko teraz bardzo stabilnie. Rozpoznanie otaczającej nas głębokości i sytuacji. Siedzimy na jakimś ogromnym głazie. Prawa

strona Tratwy w powietrzu. Chwilowo jesteśmy bezradni. Wszystko co ma jakąś wagę przenosimy po przekątnej na tył tratwy i wprowadzamy tratwę w drgania. Nadal Nic. Wszelkie próby zakładania dźwigni z pychów bez efektu, są zbyt delikatne, boimy się, że się połamią. Po ponownym rozpoznaniu otoczenia STEFAN lekko ubezpieczony linką wchodzi na kamień i tym krótszym pychem zakłada dźwignię w tym czasie wprowadzam Tratwę w drgania. Łamie się pych. Teraz mamy go w kilku kawałkach – efektu – zero. Wiemy, że czas działa na naszą niekorzyść. – woda opada, więc nie będzie lepiej. Ponawiamy kolejne próby z różnymi drobnymi modyfikacjami- NIC. Dobrze, że nasi koledzy, których przenocowaliśmy w Krzemiennej są za nami. Liczymy na ich ewentualną pomoc. Za którymś telefonem udaje się z nimi nawiązać kontakt. Są aktualnie na pieszej wycieczce, zwiedzają, ale ustalamy sposób, jak mają się zachować gdy będą nadpływać aby wartki nurt nie przeszkodził im dostać się do Tratwy. Pod prąd nie mieliby żadnych szans aby dotrzeć do Tratwy. Rozważamy jak dostać się na ląd z liną aby móc uruchomić wyciągarkę. Opracowujemy jakiś plan, tylko, że do jego realizacji brakuje nam trochę różnych rzeczy.- np. odpowiednich śrub do zamocowania w innym położeniu i lokalizacji wyciągarki. Po kolejnych próbach ustawienia Tratwy pod większym kątem w stosunku do nurtu- liczymy że wtedy jego siła ściągnie nas z przeszkody – rezygnujemy. Musimy odpocząć. Słoneczko grzeje, teraz wiaterek na lekarstwo. Gdzie już moglibyśmy dopłynąć? A tu wizja nocowania na środku rzeki, przy opadającej wodzie z dala od siedzib ludzkich. Dobrze, że mamy wodę i trochę jedzenia. Nastroje- miny nam trochę rzedną. Po kawie zauważamy, że woda znów trochę opadła. Widzimy już kamienie, na których stoi przód tratwy. Jest to właściwie stół kamienny lub ciąg kilku ułożonych jeden za drugim. Teraz wiemy, że nie jesteśmy w stanie ruszyć tratwy sami. Liczymy na odsiecz towarzyszy, mają wyruszyć jak tylko wrócą z wycieczki. Nie rezygnujemy jednak z najróżniejszych sposobów- bez efektów. W końcu wpadamy na pomysł wykorzystania podnośnika hydraulicznego. Zabezpieczamy całość używanego sprzętu, podnośnik, deska, kawałek pycha – wiążemy je na linkach – nie możemy sobie pozwolić na utratę czegokolwiek. Bez tych prostych rzeczy wiemy, że będziemy już kompletnie bezradni. Stefan znów do wody- kolejne podnoszenia i drgawki Tratwy- przesunęliśmy się o kilka centymetrów – o tyle by z boku można podłożyć na kamieniu siłownik (dotąd był tam tylko dół). Teraz kombinacje o co i jak go zaprzeć o Tratwę. Kilka prób- W końcu coś się zaczyna dziać.

Posuwamy się kolejne kilka centymetrów. I tu jeden (może teraz śmieszny element) w tym całym stresie, ferworze walki o byt zaglądaliśmy w wolne przestrzenie pod tratwę by sprawdzić co się tam dzieje. Po stronie na której wisieliliśmy na kamieniach, w luku pod koniec tratwy widoczny duży, ciemny element, którego nie można dokładnie rozpoznać. Wygląda na kolejny kopulasty kamień. Boimy się, że gdy woda opadnie, wbije się nam do środka tratwy. Dopiero po kolejnej konfrontacji uświadamiamy sobie, że jest to podniesione koło naszej tratwy - wielka to ulga - gdyby był to rzeczywiście kamień, to raczej nie mielibyśmy szans. Był on bowiem usytuowany pomiędzy poprzeczkami mocującymi boczne pływak i sięgał prawie pokładu. W żaden sposób nie dałoby się go przeskoczyć! Pozostałoby tylko CZEKANIE NA WIELKA WODĘ;

Kolejne podejście z siłownikiem i zaparcie go o kamień przez deskę o podstawę barierki zsuwa nas na bok kamienia o tyle, że zaczyna działać napór nurtu z coraz to większą siłą. Za chwilę słyszymy rumor. Stefan wskakuje, pływak przesuwa się na złamanym pychu po kamieniu jak po rolce. Za chwilę jesteśmy WOLNI - znów płyniemy. Ponownie radość w naszych oczach. Wyławiamy wszystkie gadżety z wody. Prowadzimy Tratwę środkiem. Rzeka uspokaja się - na jakiś czas. Dzwonimy do kolegów - oni dopiero wracają z wycieczki. Na kamieniach OPALALIŚMY

się około 4 godziny - SPORO. Wiemy, że w tym całym zdarzeniu (w sumie do którego wcale nie musiałoby dojść gdybyśmy zdołali wymanewrować Tratwę o około 1 m w bok) mieliśmy bardzo dużo szczęścia. Jeszcze tym razem los do nas się uśmiechnął... Leczymy rany KAPITANA z apteczki Piotra (poślizg na kamieniu i uraz w to samo miejsce). Dalej płyniemy ostrożnie na wiosłach. Znajdujemy jakieś jedno z niewielu przytulnych miejsc na brzegu - dobijamy. Odpoczynek - kawa - podejmujemy próbę wydostania się z koryta przez pobliskie krzewy i chaszczę.

Niestety, wyrębana ścieżka doprowadza nas do pola kukurydzy (wysokiej) bez widoku na żadną ścieżkę prowadzącą do osady ludzkiej. Za to na drodze stanął stary lis, który nie bał się i jakby blokował drogę. Stał nieruchomo nawet gdy podszedłem do niego na kilka metrów, strzygł uszami i patrzył - a mógł przecież uciekać w kukurydzę. Wyraźnie nie chciał mnie przepuścić - z resztą nie było gdzie iść. Wracam. Jemy coś,- po puszcze rybnej i chleb. Stefanowi olej wylewa się do buta. Wpada w poślizg. Dopiero LUDWIK doprowadza wszystko do poprzedniego stanu. Dalej płyniemy na silniku, na razie nie ma bystrzy. Ale i tak nie ustrzegamy się błędów, woda spokojna, ale chwyta nas płycizna. Znow łapiemy kamień w śrubę, która jest już bardzo zmaltretowana - po żywicy modyfikującej jej kształt (aby miała większy uciąg) nie ma już śladu - wyciągamy kamień spomiędzy obudowy i śruby. Silnik ponownie daje się URUCHOMIĆ.! Teraz badamy pozycję częściej, również na SPOKOJNEJ WODZIE, Wiemy, że woda nadal opada, chcemy uciec jak tylko się da daleko. Zaliczamy jeszcze po drodze kilka płycizn, ale wypracowana metoda - jak dotąd - zdaje egzamin. Płyniemy. Dopływamy do promu w BABICACH na silniku. Dochodzimy za prom, ale przy brzegu jest zbyt płytko, muszę go wyłączyć aby nie ryzykować. STEFANOWI nie udaje się odpowiednio zarzucić kotwicy. Powtarzamy manewr, chyba ze dwa razy - w końcu dopychamy się do brzegu - chwytny za krzaki i długą trawę - po wiosle założonym na barierkę i stromy brzeg wychodzę na brzeg z liną. Teraz cumujemy - trochę kombinujemy aby trap był po odpowiedniej stronie. W końcu wszystko jest OK. Ogarniamy z grubsza Tratwę i idziemy do pobliskiego sklepu - tylko najpierw trzeba się przedrzeć przez pas zarośli i wysokiej trawy.

Jakieś zakupy - wracam i szykuję się do spania. KAPITAN jeszcze chwilę zamarudził na ławeczce przed sklepem. Za opis dnia nawet się nie zabieram. JUTRO. Tak a propos KAPITAN dawno nie miał tak czystych nóg-przez parę godzin moczył je w wartkim nurcie Sanu... Piękny wschód księżyca. Pełnia.

Nocleg przypada dziś tu.

Ahoj Towarzysze!

poniedziałek 14-07-2014

Niezbyt dobrze spałem, zbyt dużo wrażeń. Rano wstaje i biorę się za opisanie wczorajszego dnia.

Zamierzamy wyruszyć po uzupełnieniach i wizycie w sklepie. Tu obiecano nam, że możemy zostawić worek z naszymi śmieciami. Jak dotąd nie mamy żadnej (cywilizowanej) sposobności ich pozostawienia. Śliczny poranek – codzienne sprawy i biorę się do pracy. Po jakimś czasie KAPITAN wstaje na kawę. Godzina jest przyzwolta – proces resocjalizacji postępuje. KAPITAN też zaczyna pracować medialnie.(pewnie jest zazdrosny o promienie sławy, robi to bardzo dobrze- nie jestem pewien czy nie lepiej od dotychczasowego mistrza?:).

Słońce – mamy prąd – postanawiamy go wykorzystać – włączamy komputery. STEFAN uzupełnia swoje wpisy. Idę do sklepu, pozostawiam śmieci, kupuję śruby potrzebne do zamocowania wyciągarki (okazało się, że mamy tylko wywiercone dziury, a śrub nie ma), gdyby znów była niezbędna. Kupuję co nieco i trochę dostępnych owoców. Możemy wypływać, ale nadchodzi burza więc się wstrzymujemy. Biorę się za uruchomienie prysznica, ale pierwsza próba nieudana. Zaczyna się ulewa, więc wykorzystuję tę naturalną okazję. Jestem odświeżony – jak to bardzo poprawia samopoczucie. STEFAN robi mi fotki (w gaciach)- za jakiś czas deszcz przechodzi.

Nadpływają kajakarze, opowiadamy wzajemne wrażenia. Postanawiamy popłynąć do następnego promu i zatrzymać się przy polu biwakowym – gdzie kajakarze kończą bieg swojego spływu. Kuba płynie z nami na tratwie. Adam i Franek popłynęli przodem rozbijać obóz. My bez większych przygód (tym razem kilka głazów omijamy bezpiecznie) docieramy na miejsce, gdy obóz jest już rozbity. Jak zwykle trochę kłopotów z zacumowaniem tratwy – straszne błoto po opadającej wodzie – ale z pomocą dajemy sobie radę za pierwszym podejściem. Pojawia się kilka przypadkowych osób, bo prom już nie jest czynny. Te same pytania i odpowiedzi. Wczasowiczowi ze Śląska, Krzysztofowi wręczamy nasze reklamówki, opowiadamy o naszym mieście i o tratwie, robi fotki tratwy – bardzo mu się podoba (najmniejszy dotychczas napotkany prom napędzany energią rzeki – tamte wcześniejsze, większe, były wspomagane liną ciągnącą silnikiem elektrycznym. Kolacja – dziennik za poprzednie dni – jak one uciekają - idziemy spać. Kajakarze śpią w swych namiotach, my na tratwie. Stoimy za promem w miejscowości KRZYWCZA.

wtorek 15-07-2014

Pobudka 6.30, ale na promie cisza, nie to co w Krzemiennej. Chciałbym uzupełnić info na kompie, ale brak prądu. Śniadanie – kajakarze się zwijają. Zostawiają nam zbędny już dla nich prowiant. Podjeżdża po nich Piotr z Przemyśla. Zbierają kajaki, zbiorowa fotka, wymiana telefonów i odjazd, tzn. ponownie przeprawiają się promem na drugą stronę. My szykujemy się do odboju – tylko trzeba jeszcze zrobić porządek w kuchni i na stole. :) Pan PROMOWY odholowuje nas swoją jednostką na lewą stronę rzeki i puszcza cumę. Płyniemy.

Po drodze kilka płyczn i kamieni, ale je szczęśliwie omijamy. Najgorzej jest między dwoma wyspami – ale wiemy już od Piotra jak pokonać tę przeszkodę – idziemy środkowym przesmykiem. Dalej leniwa, szeroka rzeka. Na chwilę idziemy na silniku. W KRASINIE przed miastem robimy postój – dobijamy – jak się okazuje – na brzegu działki wczasowiczów z Warszawy. Użyczają nam wody, wymieniamy informacje, reklamujemy nasze miasto, po czym wracamy do czekających nas zadań. Drobne porządki i czas na jakąś przekąskę. Nadzieja na sklep zgasła - nie tutaj - trzeba dopłynąć do Krasicyzna. UPAŁ. Uzupełniamy nasz dziennik

około 15.30 odwiedza nas sąsiad z działki, gdzie cumujemy – pan WIESŁAW. BARDZO nasza wyprawa mu się podoba, widać, że chciałby się zabrać – niestety jutro musi być w pracy 400 km stąd. Wpisuje się nawet do naszego dziennika następującą treść

KOLEDZY ZAKOTWICZYLI PRZY MOJEJ DZIAŁCE – SUPER SPRAWA

I podpisuje się. Udziela nam jeszcze informacji najbliższych płycznach. W drogę. Rzeczywiście, mamy kilka płyczn, ale i trochę doświadczenia. Bezproblemowo dobijamy do KRASICZYNA.

Cumujemy przed mostem, na wysokości zamku, przy boisku sportowym. STEFAN ciągnie pierwszy do chłodnego napoju. Takiego, żeby na szklance pojawiły się kropelki rosy...

Ja też piję coś zimnego, ale w innym kolorze. Zjadamy coś ciepłego w barku obok delikatesów, po czym idziemy zwiedzać ZAMEK.

Niestety, jest już na zwiedzanie za późno. Robimy więc obchód parku – jest przepiękny.

Spacerując po nim wracamy do klimatu chwil ich pierwotnych właścicieli. Robimy fotki. Wracając zahaczamy o delikatesy. Na tratwie czeka nas jeszcze praca z dziennikiem...

Burza przeszła bokiem. Zagrzmiało, błysnęło, nie popadało. Wróciliśmy na sucho! Około 24 młodzi ludzie palący ognisko przy pobliskim stadionie zapraszają nas na kiełbasę. Ja już leżę na koi, ale Stefan się poświęca i idzie na chwilę.

środa 16-07-2014

Dziś po śniadaniu idziemy zwiedzać ZAMEK.

Zwiedzanie w grupach minimum 5-osobowych z przewodnikiem (cena 14 zł, ulgowy 7 zł). W „mieście” siedzimy do 17. – no bo to jeszcze obiadokolacja, KAPITAŃSKIE posiadówki i tak jakoś zeszło.

W międzyczasie jakoś burza, więc wcale nam się nie śpieszy. Po wejściu luzujemy cumy – oddalamy się od brzegu na stan pływalności. Ponton, który był na dachu znalazł się po drugiej stronie domku. Przez moment gdy dochodziliśmy do tratwy sądziliśmy, że ktoś nam go zwędził. Chcemy właściwie wypłynąć, ale znów się chmurzy i rusza się lekki wiaterek.

KAPITAN przytulił się do koi. Śpi, więc dzisiaj chyba już nie wyruszymy. Woda, mimo deszczu wciąż opada. Wyrzuciłem śmieci, bo jest okazja. Są kosze, dwa toi-toi'e, ale raczej nieczynne, nawet nie można do nich dojść.

Samo miejsce – boisko sportowe – fajne. Jest miejsce na grilla i do plażowania, o czym informuje nas Pan, który przyjechał rano pokosić trawę. KAPITAN relaksuje się już na całego. Cóż, chyba i ja utnę sobie drzemkę. 12:30 POBUDKA! – zarządza Kapitan. Rzuć (?) cumy!

Odplywamy leniwie. Nurt rzeki do mostu bardzo spokojny. Woda opada, środkiem około 1,20 m. Kilkaś metrów za mostem, po wykonaniu fotek, zauważamy bystrze i kępy traw na środku rzeki. Idziemy środkiem, dyskutujemy jak bierzemy przeszkodę z lewa czy z prawa. Po lewej było wąskie

przejście i drzewa na wewnętrznej, po prawej szerzej – woda była, ale tylko do kostek. Szorujemy, bo dalej też są trawy. Wychodzimy do wody, dźwignie z desek (jedna dzisiaj znaleziona – zdobyczna i najdłuższa na Tratwie) i po parę centymetrów przesuwamy Tratwę w kierunku głębszego nurtu. Kierunek mamy obrany, obadaną drogę, ale trzeba te parę metrów jakoś dopchać. Stare metody, ukosowanie, prawo, lewo, żeby nurt pomagał, dźwignia z lewej, prawej, tył – i powoli do przodu – w końcu ruszyła – nabrała trochę prędkości – nagle znów szoruje – Stefan krzyczy „straciliśmy butlę”. Wyglądam zza budy – z miejsca gdzie mamy ułożoną butlę wydobywa się jakaś chmura mgły – słychać syk, szum. Stefan krzyczy - „rozpruło nam butlę”- biegnę i otwieram luk z butlą – obracam ją i znajduję ZAWÓR – jest cały, szybko go zakręcam.

Po kłopotcie, okazuje się, że utraciliśmy tylko reduktor i kawał węża. Dobrze, że nie pracowały żadne elektryczne urządzenia. Nie jestem pewien czy aby nie była to mieszanka wybuchowa – śmiejemy się ze Stefanem – że znowu byłoby ŁUNY W BIESZCZADACH i to na wodzie. Po utracie butli znów siedzimy na mieliźnie, ale teraz tylko kilka podejść i płyniemy. Lista zakupów w Przemysłu wydłuża się. Następne (chyba tylko jeszcze dwie) płycizny pokonujemy już bez strat. Bokami za wzgórzami są burze. U nas jednak jest spokojnie, nawet nie ma wiatru. Dopływamy w pobliże miejscowości WAPOWCE, od nazwiska współpracownika Mikołaja Kopernika – Wapowickiego. Tak wyjaśnił nam napotkany na brzegu mieszkaniec, który przyszedł nad rzekę po próchno - był pszczelarzem - i do czegoś było mu potrzebne - ostrzegł nas przed gniazdem szerszeni zlokalizowanym na sąsiedniej wierzbie. Rozmawiamy z nim dość długo, opowiada o lokalnych bolączkach i swoim życiu, na koniec wręczamy mu wizytówkę, zachęcając do obejrzenia naszej strony internetowej. Robi się późno. Ciepłej kolacji nie będzie. Nie ma gazu tzn. gaz jeszcze jest, ale nie da się z niego korzystać. Trzeba kupić reduktor i wąż. Podejście na brzeg fatalne, prawie urwisko. Raczej nigdzie nie będziemy stąd wychodzić. Prześpijemy się i ruszymy dalej – Do Przemysła już tylko około 6 km. A wydawałoby się, że taki spokojny dzień i nie będzie o czym pisać w dzienniku. Chleba też nie mamy – są jakieś resztki. Według Stefana mieliśmy dotrzeć w pobliże Przemysła – to bliższe pobliże.....

Czwartek 17-07-2014

Pobudka około 7.30. KAPITAN przerzucił się na picie mrożonej kawy. Mnie chwilowo wystarczy jakiś napój owocowy. Mamy świadomość odniesionych ran, ale będziemy je leczyć później – tutaj nie ma żadnych warunków, nawet wyjście na ląd jest bardzo utrudnione. Dziś czeka nas przeprawa przez wąskie gardło między płyciznami na wysokości „ŻÓŁTEJ RURY”, jak opowiadał nam wczoraj pszczelarz. Póki co okazuje się, że nie działa inwerter, zaczął szwankować wczoraj wieczorem, kiedy Stefan obrabiał zdjęcia. Okazuje się, że wypiął się kabel zasilający od akumulatora (KAPITAN zbyt się kręcił na poduchach) i zrobił zwarcie. Oczywiście bezpiecznika zapasowego nie mamy. Drutem nie flekujemy – chyba żeby byłaby nieodwołalna konieczność. SPRAWDZAM CO Z GAZEM ?

– Okazuje się, że ukruszył się króciec reduktora przy butli – wąż zahaczył o przeszkodę i urwał go, mogła co prawda puścić opaska i wąż by się wysunął, ale widocznie był ustawiony pod takim kątem, że się ukruszył. W sumie, na początku myśleliśmy, że zerwał, przeciął się wąż między tratwą a kamieniem. Nieważne, kuchenka nie działa. Płycizny za rurą pokonujemy

bezproblemowo, gdzieś na następnym bystrzu zawadzamy o kamień, chwilę nas przytrzymuje, ale obraca lekko z prądem, pomagamy puchami i jakoś schodzimy. Po drodze jeszcze kilka bystrzy i chyba jeszcze dwie- trzy płycizny- jakoś je pokonujemy, słyszymy tylko szuranie i jakieś trzaski pod pokładem. Za wzgórzami idzie jakaś potężna burza, ale my do celu mamy tylko kawałeczek. Właściwie się już nie spieszymy, tylko trochę, tak ciut burza nas dopinguje....

Pierwsze cumowanie przy boisku LZS w OSTROWIE. Idziemy do pobliskiego sklepu, uzupełniamy prowiant. Burza nas dopada w sklepie, ale nie trwa długo, idzie za górę. Udajemy się pod podany przez Piotra adres sprawdzić czy nadeszła paczka z kotwicą i łańcuchem. Jeszcze nie nadeszła, ale kolega ratuje nas nowym reduktorem do gazu. Mamy znów kuchenkę i ciepłe jedzenie. Kapitan może pić gorącą kawę. Nawijujemy kontakt z bazą przerzutową. Pan Gerard przybywa na wizję lokalną z koleżanką z pracy, dłuższą chwilę rozmawiamy i umawiamy się co do jutrzejszego dnia. Cumujemy teraz przy samej ulicy – Przystawiliśmy się o kilkaset metrów z uwagi na lepszy kontakt z cywilizacją – jest wygodne podejście po schodach na ulicę. Mamy bliżej do Grzesia –(tak ma na imię kolega Piotra). Stoimy praktycznie kilkaset metrów od przepławki. Mamy być gotowi na godzinę 9.00, zacumowani pod Larsenem za czerwoną boją. Odwiedzają nas przygodni obserwatorzy - znów- musimy im opowiadać o sobie i naszej wyprawie – a mamy jeszcze tyle do zrobienia.. Kapitan długo dyskutuje z panem Wiesiem o przemyskich marynarzach. Był na Kubie, pilnował jachtu Henryka Jaskuły i wiele innych epizodów. Kolacja. Praca medialna. Wstępne przygotowania do jutrzejszego przerzutu. Odwiedziny sąsiadów, o których rozmawialiśmy wcześniej z Piotrem- Joasia i Grzegorz i ich sąsiadka, która upiekła wspaniały placek. Gawędzimy przy miejscowym, regionalnym wyrobie przez cały wieczór. Wymieniamy telefony.

PIĄTEK 18-07-2014 (Dzień 13)

OSTRÓW przy Przepławce w zasięgu wzroku BUDIMEX budujący przepławkę.

6.00 Pobudka. Dla KAPITANA później.

Po kawie szykujemy tratwę do operacji przerzutu. Chmurzy się, nadchodzi kolejna burza. 7.15 Zaczyna padać. 8.20 gotowi do przepłynięcia pod larsenem (ścianka szczelna). Luźne rzeczy na podwórku Grzesia.

Podpływamy pod larsen. 9.00 operację przenoszenia rozpoczynamy mimo, że nie udało nam się złożyć całkowicie tratwy.(Istotnym elementem jest tu czas, w którym możemy ją przeprowadzić).Opisywać teraz zbyt długo-jest dokumentacja fotograficzna. Pan Franek, operator dźwigu sprawdza jak dokonaliśmy mocowań i pada komenda: „tratwa w górę” ... nie będę opisywał, bo nie mam na to stosownych słów...trzeba koniecznie obejrzeć fotki i ewentualnie. film, jeżeli się udał.

Akcja przebiegała sprawnie i profesjonalnie pomiędzy dwoma betonowaniami (podjeżdżają gruszki, praca na budowie musi iść zgodnie z harmonogramem) jesteśmy już po drugiej stronie. Gorąco, burza się gdzieś rozeszła. Cumujemy i porządkujemy tratwę. Chwila rozmów z pomagającymi. Gdyby nie to, że dziś jest piątek i obsada budowy będąca na delegacji ucieka do domów trwałoby to z pewnością dużo dłużej. Powoli wszystko się uspokaja. Prosimy o wpis pana Gerarda, dzięki któremu to wszystko było możliwe:

„Życzymy powodzenia”

BUDIMEX S.A.

(podpis pana Gerarda i Pawła)

Uwaga własna (mieliśmy szczęście do bardzo konkretnych, kompetentnych i życzliwych nam ludzi)

Stefan sprząta, ja rowerem udaję się do najbliższego sklepu po najważniejsze zakupy. Teraz mamy już spokój. 14.30- jeszcze parę godzin wcześniej – inspektor zaopatrzenia w wodę porządnie nas nastraszył pytając o jakieś pozwolenia podpłynięcia pod Larsen (zaraz obok jest ujęcie wody), ale z pomocą kierownika budowy schodzimy w dyskusji na bezpieczniejsze ścieżki i w końcu jest w miarę sympatycznie. Inspektor idzie do swoich obowiązków a my do swoich. Życzy nam nawet pomyślności, tak w gruncie rzeczy to również i jemu spodobał się ten nasz pomysł... Po ogarnięciu tratwy idziemy do miasta i choć jest ono o rzut beretem po drugiej stronie rzeki, to aby tam dotrzeć, trzeba przejechać parę kilometrów. Obiadek w „Dominikańskiej” – budzimy lekkie zdziwienie i zainteresowanie: kłoszardzi przychodzą do takiej restauracji na obiadek?! (sznycelek, kotlet dominikański). Rozglądam się trochę ponownie po Starym Rynku. Szykują się do obchodów 100-lecia obrony Twierdzy Przemyśl. Nastrój świąteczny.

Przyjechałem rowerem, mogę sobie trochę pokrążyć po uliczkach, Stefan jako, że piechur na tratwę jedzie taksówką. Zastaję go smacznie śpiącego na swojej koi. Pogoda przepiękna. Biorę się za PRANIE. Dotychczas nie było na to czasu.

SOBOTA 19.07.2014 (Dzień 14)

z Ostrowa do Przemyśla

7.20 Pobudka. Robię to co zawsze. Lekkie śniadanie. Po godzinie KAPITAN dochodzi do pierwszej kawy. Przygotowania do odejścia- (bardzo wstępne) –pakuję paczkę- z jak uważam- nadmiarowymi rzeczami do domu. Brakuje mi tylko papieru pakowego - kupię w Przemyślu. 10.00 wsiadam na rower i jadę do 'Komputronika' po baterię do mojego laptopa. Ma być na wtorek pod wskazanym adresem w Jastrowiu(udostępnionym przez Grzesia) . W Przemyślu festyn z okazji 100-lecia obrony twierdzy Przemyśl, bardzo fajna impreza na Starym Rynku. Z wieczora, około 18-tej ma odbyć się rekonstrukcja – pokaz na wzgórzu tatarskim. Wracam na tratwę około 13.00 Rower na wieszak. „Klarowanie” tratwy, powoli myślimy o wypłynięciu. W końcu się jakoś wybieramy, po drodze kilka płycizn. Na jednej z nich siedzimy na kamieniu, ale kamienie nie są duże, kilka obrotów tratwą, dźwignia deseczką i płyniemy dalej. Nadal piękna pogoda, ludzie się opalają, dziwią i pozdrawiają. Jakoś dopływamy do pierwszego mostu, cumujemy przy tarasie Wybrzeża Jana Pawła II. Idziemy do miasta po prowiant na grilla, wracamy aby go zostawić i dalej udajemy się na Stary Rynek na uroczystości obchodów 100-lecia obrony twierdzy Przemyśl.

Wspaniała uroczystość - zorganizowana wzorowo. Na 20-tą jesteśmy umówieni na grilla.

Przychodzi Piotr i Grzegorz z żoną Asią. My jesteśmy chwilę spóźnieni. Byliśmy jeszcze na zamku i

złapał nas przelotny deszcz. Stefan pognął przodem. Dochodząc do tratwy i z dala widzę stróżów prawa. Spodziewam się kłopotów. Ale sprawa się szybko wyjaśnia. Mariusz wezwał Policję, twierdząc, że tutejsza młodzież chciała 'pożyczyć' sobie od nas silnik i rowery, a może i jeszcze inne rzeczy. Obserwował tratwę od dłuższego czasu i zareagował na mający nastąpić 'wypad' młodych na tratwę. Takie zdarzenie o tej porze dnia wprowadziło nas w zdumienie – ale skoro tak twierdzi i stróże prawa są na pokładzie to tak widocznie było. Po wyjaśnieniu sytuacji stróże porządku interesują się naszą wyprawą. Jest to sympatyczna pani policjant Elżbieta i jej kolega Wojciech. Wyjaśniamy cel który nam przyświeca i sposób jego realizacji. Po pamiątkowej fotce wracają do pełnienia dalszej służby, my także ogarniamy sytuację. Za chwilę ma rozpocząć się grill. KAPITAN ma kłopoty z rozpaleniem (mało nadającego się do tego celu papieru) , ale w końcu udaje się i grill „rusza”. Jest to dziewiczy grill na tratwie. Miasto Przemyśl zostało uhonorowane uroczystością, odpalenia naszego górno pokładowego gadżetu. Piotr gra na gitarze, gawędzimy. Nad Sanem na obu brzegach pełno młodzieży i spacerowiczów, piknikowy klimat. Piękny letni wieczór nad brzegami przemyskiego Sanu – folklor, który trzeba zobaczyć, doznać i przeżyć – i gdyby nie przykry incydent z Mariuszem wieczór byłby w pełni rewelacyjny, choć i tak takim był. W trakcie grila odwiedza nas przedstawiciel lokalnej gazety podkarpackiej- Tomasz. Upoważniony przez Kapitana udzielamy mu wywiadu o naszej wyprawie. Umawiamy się na wymianę materiałów i promowanie wzajemne swoich lokalnych atrakcji. Powoli cichnie przybrzeżny gwar. Naszą gitarę jeszcze słychać jakiś czas, choć coraz ciszej i ciszej . Jutro nasi goście muszą iść do pracy... Spać idziemy późno.

NIEDZIELA 20.07.2014 (Dzień 15)

PRZEMYŚL

Okolo 6.00 budzi mnie odgłos wrzucanych do worka butelek. To panowie sprzątaję brzegi Sanu po wczorajszym upojnym wieczorze. Poranna mgła – i cisza przerywana brzękiem uderzających o siebie butelek. Robie sobie gorącą herbatę. KAPITAN śpi sobie jeszcze smacznie. Napracował się wczoraj reprezentując naszą jednostkę przy grillu, sam osobiście go rozpałał , doglądał i godnie reprezentował. Ze swej strony starałem się mu dzielnie pomagać. Niestety czynności reprezentacji medialnej scedował na mnie Poranni spacerowicze – ci z psami z zainteresowaniem oglądają wyłaniającą się z mgły tratwę komentując między sobą to zjawisko i idą dalej. Wstaje piękny dzień. W Przemyślu na dziś przewidziano wiele okolicznościowych atrakcji związanych z 100-ą rocznicą walki o Twierdzę, między innymi start poczty balonowej – wywożącej przesyłki poza obręb oblężonej twierdzy. Tymczasem muszę ogarnąć tratwę aby mieć czas na późniejsze zjawiska. Godzina 7.30 zza rzeki od strony starówki dochodzi dźwięk dzwonów z któregoś z kościoła? Nie wiem z którego, jest tu ich tak wiele..... U siebie mogę to określić jednoznacznie – tutaj jestem bezradny. Powrót do Przemyśla znanego mi z czasów studenckich gdy wyskakiwałem w Bieszczadach zupełnie mnie zaskakuje, w mojej świadomości egzystowało zupełnie inne miasto. Jestem zauroczony i zachwycony. Z pewnością pojawię się tutaj gdy tylko nadarzy się jakaś okazja. Odwiedza nas żeglarz Mariusz Olbromski związany z Przemyślem i Wyszogrodem. Jest wytrawnym żeglarzem, ma za sobą niejedno osiągnięcie żeglarskie, lecz

nasza wyprawa zaskakuje go, deklaruje, że gdyby nie obowiązki natychmiast zamustrował by się na tratwie. Wpisuje się do naszego dziennika pokładowego:

Szczęśliwy jestem, że mogłem spotkać wodniaków z wielką wyobraźnią i fantazją. Jestem zafascynowany pomysłem. Dziękuję za miłe przyjęcie, ciekawą rozmowę i kawę. Życzę stopy wody pod dnem i tego by każda godzina tego spływu przynosiła wiele wspaniałych i niezapomnianych wrażeń. Mam nadzieję do zobaczenia.

Mariusz Olbromski

Około 10.40 gościmy również na tratwie jego kolegę, znajomego żeglarza pracującego w straży miejskiej. Wykonujemy pamiątkową fotografię. Za jakiś czas pan strażnik przychodzi i rewanżuje się za otrzymane materiały żeglarskie breloczkiem z wizerunkiem niedźwiadka w uniformie strażnika Straży Miejskiej w Przemyślu. Idę zwiedzać Muzeum Dzwonów i Fajek- po drodze spotykam rowerzystę, który zagadnął mnie o drogę na zamek. Okazuje się, że jest to p. Leszek Szurman kontynuujący swą podróż rowerem dookoła Polski. Wręczam mu naszą wizytówkę, jest zachwycony naszą wyprawą. Obiecujemy sobie wzajemne odwiedziny na stronach internetowych.

Z wieży muzeum piękny widok na Przemyśl i okolice. Pogoda jak na Lazurowym Wybrzeżu. Mieszkańcy ciągną nad San – opalają się i kąpią, woda wciąż OPADA. Około 16.30 ruszamy dalej. Zapowiadane przeszkody pod mostami pokonujemy jak 'bułka z masłem', były rejestrowane przez przedstawiciela prasy lokalnej Tomka i naszych lokalnych fanów, których zdobyliśmy w Przemyślu. Piotr robił nam fotki z ostatniego mostu, przyjechał się pożegnać. Dalej płyniemy leniwie z głównym nurtem rzeki. Po stronach wypłaceń kąpie się sporo letników, są zaciekawieni tym dziwnym zjawiskiem jawiącym się na rzece. Dla nas są wskaźnikiem, bo możemy zaobserwować dokąd sięga im woda. Chcemy dopłynąć w pobliże miejscowości Bolestraszyce aby obejrzeć ARBORETUM.

Teraz jednak napotykamy na kilka mielizn, ledwo przechodzimy, nie ma tak dużych kamieni jak poprzednio, więc z biedą, ale udaje nam się przejść. Na jednym z wypłaceń trafiają się większe i niestety ale wisimy, nie ma wyjścia musimy opuścić tratwę. Tylko, że wczoraj w trakcie tego całego zamieszania z wzywaniem Policji przez Mariusza, ktoś spuścił mi mojego jednego wodołaza do wody na dalszy samodzielny spływ do morza. Teraz do tego celu muszę przeznaczyć moje ulubione tenisówki.

Walczymy – chyba dobre pół godziny, aż w końcu udaje nam się zejść z kamienia. Okupujemy to jednak połamaniami pianki na końcówkach naszych pływaków. Jesteśmy już blisko celu, ale kolejne wypłycenia nas zatrzymują. Chcemy je obejrzeć, obawiamy się płynąć tam teraz pod wieczór, bo gdyby co – to raczej niemiła noc na wodach Sanu. Stoimy więc w krzakach, brzeg bardzo wysoki i poprzez pobliskie chaszczki nigdzie nie ma wyjścia, ścieżki wydeptanej przez wędkarzy, czy czegoś podobnego. Próbowaliśmy znaleźć jakieś wyjście na świat lecz nie udało się

nam przedrzeć przez te nadbrzeżne chaszcze. Po dłuższej chwili zrezygnowaliśmy- wracamy na tratwę – bystrza też nie udało się dobrze obejrzeć- nie ma dojścia. Z prawego brzegu dochodzą odgłosy dyskoteki (lub wesela). Strasznie tną gzy. Jest ciepły ,spokojny, letni wieczór. Biorę kąpiel (turystyczną) i idę spać.

Przedtem jemy resztę chleba na kolację i konserwę mięsną. Stefan jakiś czas pracuje jeszcze na komputerze, ale niezbyt długo, też idzie spać.

PONIEDZIAŁEK 21.07.2014 Dzień 16 okolice BOLESTRASZYC

6.30 - budzi mnie grzmot, nadchodzi burza, zaczyna padać.

7.20 burza sobie poszła, wychodzi słońeczko. KAPITAN jeszcze śpi. Wstawiam wodę na kawę. Woda w rzece opadła przez noc 7 – 10 cm.

Uzupełniam zaległości internetowe w zakresie tekstów. KAPITAN pije pierwszą kawę, później następną, koło 12 –tej możemy już ruszać. Wcześniej jednak korzystamy z zasobów „ skrzyni skarbów pirata” - trafiamy na zestaw „Bieszczadzkie suchary” – dziś są szczególnie wyśmienite. (Dziękuję moim dzieciakom za pomysł) Nawet KAPITAN nie odmawia.... Wyjście na brzeg fatalne.

Przy samym brzegu gęszcz łożyny, bardzo stromo, do tego tu gdzie tylko trochę wolnego miejsca rosną pokrzywy, sięgające mi głowy, jakieś odmiany kłączy z kolcami i inne chwasty. Te rurkowe są największe, można w nich robić korytarze. Mimo wszystko wychodzę na skarpe przedzierając się przez to wszystko. Okazuje się, że zaraz za tym gęszczem biegnie polna ścieżka. Wracam do zakotwiczonej na mieliźnie tratwy (specjalnie wybraliśmy łachę, za którą mamy „stopę wody pod kilem”) i składam relację KAPITANOWI. Podejmuje decyzję, że idziemy pieszo (mamy iść zwiedzić ARBORETUM w Bolestraszycach). Neguję decyzję KAPITANA, wyjaśniając iż warto ponieść trud przedarcia się z rowerami na skarpe w zamian za dalszą wygodę transportową. Chwilę trwa zanim moje argumenty przekonują KAPITANA, choć wizja wciągania swojego starego wehikułu przeraża go całkowicie. W końcu jednak ustępuje , rekompensując sobie to wymyśleniem metody podchodzenia pod górę z jednoczesnym tratowaniem pokrzyw i wszelkiego innego plugastwa. Po wyjściu jest całkowicie zmaltretowany, choć miał długie spodnie (przy dzisiejszym upale uważam to za większy wyczyn niż znoszenie oparzenia pokrzywami). Moje wyjście było okupione pokiereszowanymi nogami, zadrapaniami, swędzeniem od oparzeń pokrzywami itd. Ponadto szedłem w mokrych tenisówkach, bo z tratwy na wodzie - trzeba jakoś dojść do brzegu. W końcu jesteśmy razem gotowi do startu. Tym razem budę zamykamy na kłódkę, choć domek stoi prawie na środku rzeki. Dojeżdżamy do Bolestraszyc, w pierwszym napotkanym sklepie zakupy napitku i czegoś do zjedzenia na szybko.

Tu dowiadujemy się, że jest już udostępniony dla turystów XII Fort Wernera, wchodzący w skład Twierdzy Przemysław w Żurawicy. Jedziemy tam, zwiedzamy fort.

Po drodze mijamy wielkie plantacje sadów jabłoniowych, w firmowym sklepie kupuję sobie ulubione odmiany. Z fortu udajemy się szlakiem rowerowym do ARBORETUM. Kupujemy bilety i zwiedzamy obiekt, a przy okazji dostępne wystawy i ekspozycje plenerowe artystów plastyków.

Przepiękne miejsce. Na to wszystko trzeba jednak dużo.... dużo więcej czasu. My nim specjalnie nie dysponujemy, obliczona na 2 – 3 godzin wycieczka zajmuje nam cały dzień. Wracając robimy zakupy w spożywczym i kupujemy nóż w przemysłowym, gdyż ten Stefana – zabytkowy – zaginął po incydencie przemyskim. Wracamy obładowani zakupami i znów to zejście – fatalne – a i mieliśmy kłopot je znaleźć w tych chaszczach – jakoś zamaskowało się przed nami. Dziś już nigdzie nie płyniemy. Praca nad tekstem, kolacja (flaki i chlebek z serem i pomidor) i spanko.....

22.07.2014 Dzień 17.

Start krzaki k/BOLESTRASYCE

6:30 wstaję z nadzieją, że uda mi się wysłać fotki do Natalii i będzie można uzupełnić zaległości. Przygotowuję pliki, wstaje Stefan, kawa. Transfer fatalny. Do godziny 10. udaje się Stefanowi przesłać swoje pliki. Moje nie idą. Być może, to co robi się tu przez 3 godziny można zrobić w 15 minut, tylko w innym miejscu. Ale... Czekam na decyzję o starcie. Do wodopoju na przeciwległym brzegu wychodzi sarenka. Dzień jak dotąd nie zapowiada się słoneczny. W końcu gdy poszły pliki Stefana ruszamy o 10:00. Płyniemy w miarę spokojnie. Odcinek 2,66 km, czasami nawet na silniku. Pojawia się przewężenie. Z jednej strony mielizna, z drugiej urwisko, a po środku powalone drzewo. Bierzymy drzewo z lewej. Między urwiskiem a drzewem się nie zmieścimy. Obaj jesteśmy po lewej stronie, asekurujemy tratwę przed spychaniem przez nurt na drzewo i prawie się to nam udaje. Ale "prawie" robi wielką różnicę. W połowie wysokości tratwy przychodzi złośliwy podmuch wiatru dodatkowo dopychający nas na pień. Wystający korzeń łapie nas za środkową barierkę, momentalnie jesteśmy dopychani do konarów. Stefan szybko podaje piętę do drewna. Musimy za wszelką cenę uwolnić się od trzymających nas konarów, dla nas to szansa ześlizgnięcia się dalej po drzewie wraz z nurtem rzeki. Zdążyłem odciąć dwa duże korzenie. Drewno jest miękkie, idzie szybko, ale tratwa nadal jest dopychana przez wodę do zewnętrznej, a stojąc ukosem, podtapiana prawym bokiem. Coraz bardziej pochyla się na prawo. Przechył jest już dość spory. Jeszcze tylko połowę tego dużego korzenia i będziemy uwolnieni. Nagle Stefan zauważa, że silnik zaczyna znikać pod wodą. Jest przekonany, że się urwał, wskakuje do wody, za tratwę. Napór wody na tratwę wygina nam barierki trzymane korzeniem.. Czuje, że są wyrwane. Nie widzę co dzieje się ze Stefanem. Jeszcze tylko trochę i będzie odpiłowane. Nagle słyszę krzyk Stefana "pomóż mi wejść!". Zostawiam wszystko i za rękę staram się go wciągnąć na tratwę. Jesteśmy w tylnej części tratwy, gdzie barierki nie ma już od czasu poprzedniej przygody. Ale on jednak trochę waży. Ciągnę z całej siły. "Stój bo mam zablokowaną nogę!" Prąd rzeki w szczelinach między tratwą a powalonym drzewem jest rwący. Później okazuje się, że noga Stefana docięnięta była do spodu tratwy łańcuchem trapu, na który nacierał nurt rzeki. Sytuacja krytyczna. Nie mogę go wyciągnąć bo ma zablokowaną nogę. Tratwa pochyla się naciskana przez coraz bardziej napierający nurt. Mamy już może ze 30 stopni przechyłu. Być może, że w tym momencie na chwilę luzuje się trap i łańcuch. Stefan jakoś wyciąga nogę spod tratwy. Chwila i wdrapuje się na pokład. Uff!! Ale nadal, jesteśmy w przechyle, który nagle zmniejsza się wraz z wyrwanymi kolejno podpórkami barierki. Wszystko to dzieje się bardzo szybko. Być może coś

nie jest tak dokładnie jak opisuję. Może to barierki łamały się w czasie gdy wyciągałem Stefana. Tego już nie jestem w stanie powiedzieć. W każdym razie po wejściu Stefana na pokład nurt wyrwa nas od drzewa, które też zmieniło swoje ułożenie w korycie. Jesteśmy uwolnieni. Na pokładzie straszny bałagan, ale na pierwszy rzut oka, prócz barier, wszystko OK! Zatrzymujemy się na najbliższej spokojnej wodzie. Musimy podsumować to wydarzenie i wyciągnąć wnioski. Jeden aparat Stefana, podręczny, z górnego pokładu, zamoczony. Nie działa, ale jest. Tablet mokry. Coś wyświetla na ekranie, ale nic z nim nie można zrobić. Włączyć, wyłączyć, nie reaguje. Meble z górnego pokładu pozsuwały się na jedną stronę, wszystko co było na stole i ławach leży na pokładzie w kałużach wody we wgłębieniach nierówności pokładu. Wewnątrz budy jak po trzęsieniu ziemi, z tych szafek, których zamki nie były zamknięte wszystko wysypało się na podłogę. Podłoga do połowy budy mokra. Zamokły nam foldery reklamowe (szczęście, że szafka ze stoikami ma mocny zamek - tam tylko trzeba poukładać wszystko od nowa. Jednym słowem było groźnie moim zdaniem. Dotychczas najgroźniejsza dla nas sytuacja na rzece. Płynięcie i dotychczasowe powieszenia na kamieniach to pestka. Nie rozumiem tylko dlaczego Stefan wyskoczył z tratwy. Jeszcze moment gdy odpiłowałem konar poszlibyśmy z nurtem. Może stracilibyśmy część barier, a może nawet i silnik, ale nie byłoby bezpośredniego zagrożenia utraty lub przynajmniej zmiążdżenia nogi - gdyby prąd zaczął dociskać tratwę do pnia gdzie był Stefan. Na szczęście proporcje siły nurtu działającej na tratwę były korzystne dla Stefana.

Straty: mysz do komputera Stefana, tablet Lenuovo - nie działają; kubek "KAPITANA", utracona część barier (dolna) po lewej stronie tratwy. Innych jak dotąd się nie dopatrzyliśmy. Czas pewnie pokaże co jeszcze nam spadło z pokładu. Sprzątamy tratwę, porządkujemy bałagan w budzie. Pijemy kawę. Musimy odreagować. Odkręcamy trap, którego już nie ma na czym powiesić, a wiszący luźno z boku tratwy sprawia, że jest dla nas dodatkowym zagrożeniem. TAK! A mówiono, że za Przemyślem nie powinno być już żadnych PROBLEMÓW! Życie, jak zwykle, weryfikuje takie slogany. Co dalej? Po lewej od połowy tratwy nie mamy barier. Trzeba dostać się gdzieś w pobliże ludzkich siedzib i sprawdzić co da się zrobić w zakresie naprawy. Nic nie wiemy na temat kondycji naszych pływaków. Od zewnątrz lewy w środkowej części ma zdeformowaną blachę. Przepłynęliśmy zaledwie 2,66 km a tyle wyrosło przed nami problemów. Przed startem po lizaniu ran zauważamy, że brakuje bambusowego pycha. Wielka strata, był bardzo przydatny. 13:30 trzeba się ruszyć, choć na rzekę po raz kolejny patrzymy innym spojrzeniem. Płyniemy teraz trzymając się raczej płytszej strony, lecz nie napotykamy na żadne niespodzianki. Rzeka jest spokojniejsza. Po drodze napotykamy na dwa wypłytenia, ale nasza tratwa tego nie odczuwa. Około 15:30 chcieliśmy biwakować, niestety nie mogliśmy znaleźć odpowiedniego miejsca. Trzykrotnie dobijaliśmy do brzegu, wdrapywaliśmy się na te niedostępne brzegi by wypatrzyć jakieś siedlisko ludzkie. Były gdzieś domki tu i ówdzie, lecz dla nas od strony rzeki niedostępne. Płyniemy. Dopiero wieżyczka jakiegoś wiejskiego kościoła daje nam nadzieję. Dwa zakręty, prosta i jesteśmy przy promie w WYSZATYCACH. Tu z pewnością zanocujemy. Pierwsze kroki kierujemy do sklepu, każdy kupuje według swojego gustu. Wracając wступujemy do najbliższego "Myrdyrdzie" gospodarstwa po wodę do picia. Bierzymy dwie duże butelki. Dodatkowo w prezencie otrzymuję główkę dorodnego czosnku. Wracamy na tratwę. Jeszcze nie wiemy, że za chwilę będziemy u gospodarza jeszcze raz, tym razem z częściami barier do pospawania. Gdy zacumowaliśmy za promem, zleciało się sporo miejscowych dzieciaków podziwiać to cudo co przyplłynęło. Robiły sobie pamiątkowe fotki i były wszystkiego ciekawe.

Pospawaną część barierek będziemy przymierzać jutro. Dziś kolacja-obiad, codzienne wieczorne czynności medialne i spanie.

21:00 biją kuranty miejscowego kościółka. Cisza, wieś zasypia, tylko nam nad głowami bzyczą komary.

ŚRODA 23.07.2014 dzień 18 postój WYSZATYCE (przy promie)

6:00 pobudka samoistna. 6:30 Kapitan się obraca. 7:00 pije już pierwszą kawę. Postanowiliśmy wyruszyć wcześniej, gdyż nie ma wiatru. Suszony TABLET URUCHAMIA SIĘ! To w tym ciągu niepowodzeń uważamy za sukces. Rowerem jadę do sklepu po zakupy. W sklepie chwila rozmowy. Wręczam wizytówki, a facetom otwieracze do piwa. Wszyscy są zaciekawieni naszą wyprawą. W pobliżu widać remontowany obiekt sakralny usytuowany kawałek za odnowionym już kościółkiem. Jadę go zwiedzić. Po drodze zauważam wiejski ośrodek zdrowia. Wstępuję tam po poradę lekarską i lekarstwa. Przy okazji informuję o realizowanej przez nas ekspedycji i zostawiam wizytówki. Wracam na tratwę. Zastaję Stefana próbującego przykręcić wczoraj naprawianą część barierek. W tym czasie na pobliskim promie stoi ciągnik z przyczepką i coś jest spawane. Dla nas doskonała okazja aby choć prowizorycznie naprawić dalszą część barierek. Zagadujemy z właścicielami tego sprzętu i za chwilę zaciągamy tratwę w zasięg użyteczności spawarki. Pół godzinki i na tyle na ile było to możliwe, nasze barierki pojawiają się ponownie w przybliżonym pierwotnym położeniu. Prawie możemy wypływać, ale rusza się wiatr i to wstrzymuje nas przed wystartowaniem. Uzupełniamy dalsze prace bosmańskie. Stefan prowadzi firmę. Internet działa średnio, ale idzie coś zrobić. Zaczyna padać deszcz, niebo zaciągnięte na całym obszarze widoczności. Pijemy gorącą kawę, czekamy na dalszy rozwój sytuacji. W przerwie deszczu jadę do sklepu. Zapomnieliśmy o pomidorach. Przy okazji zostawiam śmieci. Co ciekawe, ze śmieciami mamy problem. Nie chcemy zostawiać ich po krzakach lub wyrzucać do rzeki, a miejsca gdzie moglibyśmy je zostawić nie ma. Tylko dzięki uprzejmości pani w sklepie możemy w sposób cywilizowany ich się pozbyć. Kapitana zastaję na drzemce. Trzeba czekać na decyzję co postanowi. Wiatr się ucisza i na razie nie pada. We wsi już wiedzą o naszej tratwie, bo lokalna gazeta zrobiła nam niezłą reklamę. Pada... siąpi, siąpi, wilgotno. Tratwa po ostatnim przechyle (na wirażu historii spływu) jeszcze nie wyschła. Dywan mokry,. - kojarzy mi się piosenka Maryli Rodowicz o autobusach zapłakanych deszczem. "Do łezki łezka". Pijemy gorącą kawę "Nesca Classic", ja ze śmietanką. Zagryzamy czymś słodkim dla poprawy nastroju. Pada, siąpi. Ze zdziwieniem odkrywamy, że woda się PODNOSI. Obserwujemy punkt na podjeździe promu jak powoli dochodzi do niego poziom rzeki. Cóż, nie bardzo mamy dzisiaj wolę oderwać się od przytulnego brzegu w WYSZATYCACH. Tu jest bardzo wygodnie: wyjście na brzeg, dojazd do sklepu, a jednocześnie cisza i spokój. Godzina 17:30 odwiedza nas pan Tadeusz Kochanowicz, miejscowy radny gminy ŻURAWICA.

"Dla miejscowości WYSZATYCE położonej na rz. San przyptynięcie rzadko spotykanej barki stanowiło wydarzenie bez precedensu.

M. innymi został ten fakt opisany w lokalnej prasie "ŻYCIE PODKARPACKIE" z dnia 23.VII.2014 r. Jako mieszkaniec tej miejscowości życzę panu kpt. Wojciechowi KOSMAŁSKIEMU oraz Stefanowi RDESIŃSKIEMU stopy wody pod kilem i bezpiecznych przygód.

Pamiętajcie panowie o stolicy flisackiej w ULANOWIE n. Sanem.

z poważaniem

Tadeusz KOCHANOWICZ

- kronikarz -

[tu nieczytelna sygnatura]"

PADA, WODA PRZYBIERA...

CZWARTEK 24.07.2014 dzień 19 nadal WYSZATYCE

5:30. Wody przybyło co najmniej z metr. Zakrywa nam liny gdzie jesteśmy przycumowani. Musimy przełożyć punkt cumowania aby nadal być przy brzegu. Nurt rzeki ZNACZNIE przyspiesza. Zaczyna ze sobą nieść butelki i różne śmieci. WODY przybywa z minuty na minutę. Robimy sobie kawę i obserwujemy rzekę. Chwilowo nie pada, lecz nad nami ciężki ołowiane chmury. Sprawdzamy prognozę. Woda niesie coraz więcej śmieci i coraz to większe elementy. Pojawiają się nie tylko butelki i patyczki, ale opony, kłody, deski, kępy traw. Nie zdążyliśmy jeszcze wypić kawy a w tym czasie woda podniosła się o około 30-40 cm. Obserwujemy coraz to nowe punkty które znikają pod wodą, a prom wciąż się podnosi. Co chwilę słyszymy jakiś łomot. To walą różne rzeczy w jego bok i działa to jak pudło rezonansowe. Stoimy za promem, i choć nie jest on duży, to skutecznie zasłania nas przed wszystkimi niespodziankami. Obserwujemy sytuację na rzece. Jeszcze nie podejmujemy decyzji o wypłynięciu. Wydaje się, że sytuacja jest zbyt dynamiczna jak na możliwości manewrowe tratwy. Płynie coraz więcej syfu, już niknie kolejny kamień wskaźnikowy. Zaraz będziemy musieli ponownie przełożyć linę cumowniczą wyżej. Bardzo dobrze, że mamy dziś takie dogodne miejsce cumowania :) . Chwilę po 7-ej przychodzi pan PROMOWY, zabezpiecza prom, i że nie ma chętnych do przeprawy, bierze się do pracy w pozyskiwaniu drewna bombardującego prom. Kupka wyławianego drewna szybko rośnie, choć zdecydowana większość płynie dalej. Chwilę pomagam w wyciągnięciu dużego kloca. Robię kilka fotek i filmik z tego dość dla nas oryginalnego sposobu pozyskiwania opału. Nurt nadal "zapieprza" solidnie i podnosi się. Jak tak dalej pójdzie będę ją musiał przenieść na 1,5 metrowy uskok. Mógłbym zrobić to zaraz, ale do liny podczepiona jest również miejscowa łódka na dość krótkim łańcuchu, więc blokuje mi ten ruch. Dzwonię do Grzesia w sprawie przesyłki do odebrania w Jarosławiu (bateria do laptopa), gdyż wiemy, że w tych warunkach wypłynięcie naszą jednostką nie jest rozsądne i mógłbym w tym czasie pojechać rowerem ją odebrać.

Dowiaduję się, że jest już szczęśliwym ojcem. Asia urodziła córeczkę. Jeszcze nie wiemy jak ma, czy będzie miała, na imię, ale czujemy się trochę jak ojcowie chrzestni. Paczkę, jeśli przysła, Grzesiu podrzuci nam wieczorem, mam więc cały dzień wolny. Mogę uzupełnić wszelkie zaległości. Pan promowy wyłapuje dalej opał na zimę. Około 11. pod prom podejżdza dwóch miejscowych mieszkańców. Pomagają wyciągnąć duże konary. Nagle jeden z nich wyławia z nurtu nasz BAMBUS – ukochany pych STEFANA – zauważa go dzięki okleinie niebieską taśmą – tego się nie spodziewaliśmy - co prawda była szansa odzyskania go na którymś zakolu, gdy był dociśnięty nurtem do skarpy, lecz zbyt późno go zauważyliśmy by doплыnąć na odległość osiągnięcia go bosakiem. Wyciągamy rowery, jedziemy do wioski po zakupy, chcemy dziś przyrządzić na obiad „sałatkę po żeglarsku”, potrzebny jest majonez, śmietana, jajka, pomidory, groszek w puszcze.

We wsi zauważam, że odkręcają mi się śruby hamulców przy rowerze. Szukam klucza u kolejnych gospodarzy – takiego nie mają (imbus 6), więc kończy się na prowizorze z drutu. Jadąc napotykam na oryginalny ogródek, a w nim starszego mężczyznę. Rozmawiamy – fotografuję jego eksponaty. Stefan czeka już przy sklepie. Uzupełniamy zapasy i na tratwę. Wody już teraz pełne koryto – dobrze, że przełożyliśmy przed wyjazdem linę. Pan Promowy ciągle wyławia drewno. Mimo, że udaje mu się co 10 –te, ma już tego sporo. Stefan przyrządza sałatkę. Idzie kolejna burza, śpimy po „obiadku”, budzi mnie ciekący do budy deszcz, nie przymknęliśmy okienka. Idzie następna burza, pada, leje, woda się podnosi, szoruje całą szerokością koryta. Około 22- gieJ Grześ przynosi mi paczkę z Jarosławia (baterie do laptopa) – jest już ojcem małej Julki – Asia miała ciężki poród, ale jest już wszystko OK. Ja czekam na wiadomość, może jutro też będę miał kolejnego wnuka?...Woda opada tak szybko jak przybierała na początku, sprawia nam to większy kłopot niż gdy wzbierała. Zastanawiamy się jak rozwiązać ten problem, przecież chcemy sobie trochę pospać, a nie marnować noc na wachtę. Jest łatwe rozwiązanie – cumujemy tratwę pod innym kątem do nurtu i idziemy spokojnie spać. W nocy raz sprawdziłem – metoda jest niezawodna.

PIĄTEK 25.07.2014 DZIEŃ 20 Start WYSZATYCE

Budzi nas rumor na promie. Wstajemy. KAWA. Woda jest tylko około 1m wyżej, nim tu przybyliśmy. Szykujemy się do startu. Mamy zamiar nadgonić trochę na silniku. Trzeba rozrobić paliwo. Sklep. Woda od gospodarza i będziemy ruszać. Nurt jest bardzo wartki - takie odnosimy wrażenie. 9:50 start. Gadżet –rybka- otwieracz dla pana z promu. Idziemy właściwie bez przeszkód. Raz szuraliśmy tylko silnikiem na jakiejś ni stąd ni zowąd pojawiającej się mieliźnie, ale niegroźnie. Lekki wiaterek, ciepło, idziemy na silniku, na małych obrotach, środkiem rzeki. Jest fajnie do miejscowości ZGODA (wczoraj mieliśmy być w RADYMNIE a dziś w JAROSŁAWIU, gdyby woda nie fiksowała). Tu w końcu dogoniła nas burza i akurat osiągnęliśmy zapowiadany most z przeszkodami. Nie było sensu robić dzikich ruchów. Wiedzieliśmy, że może być różnie, ale liczymy, że przy tym poziomie wody mamy największe szanse przejścia. Naprowadzamy tratwę na środek nurtu po lewej stronie i walimy prosto w środek kotłującej się kipieli. Patrząc przez okienka na przestrzał budy i w ostatniej chwili gaszę silnik i podnoszę go na kołek (taka nasza święta prowizorka - ale bardzo skuteczna). Za moment fale zalewają nam pokład, słyszymy jakiś łomot pod oknem, tratwa drga na tych krótkich, burzliwych bałwankach. Wszystko wokół wiruje i gna do przodu. Chwila pełna emocji, za parę sekund wszystko się uspokaja, milkną bałwanki, zostają wiry i szybki nurt, ale jest już głęboko. Silnik w dół i odpalanie. Pada deszcz. Bez przeszkód doplywamy do JAROSŁAWIA. Burza powoli przechodzi bokiem. Mamy kłopoty z zacumowaniem,

bo nurt szybki a brzegi śliskie (woda jednak opada) i nie ma za co zahaczyć liny ani jak wyjść na ląd. Dwa podejścia nieudane. Dopiero trzecie, prawie za miastem, Stefanowi udaje się zarzucić linę prawie na drzewo, ale przy tym ślizga się i o mało co nie wpada do wody. Stoimy. Idziemy załatwić niezbędne formalności: Stefan komórkę, mysz itp., ja buty - wodołazy, i zwiedzamy miasto. Wracamy zmęczeni. Jutro będzie karta SIM dla Stefana. Załatwimy paliwo i w drogę. JAROSŁAW - ładne miasto, ale wymagające wiele nakładów. Piękne zabytki architektury, częściowo odnowione, i to już robi wrażenie. Aby skorzystać z tych dobrodziejstw trzeba jednak posiedzieć tu dłużej. My nie możemy sobie na to pozwolić.

SOBOTA 26.07.2014 dzień 21 start JAROSŁAW

Działamy według wcześniej ustalonego planu. Rano do miasta po odbiór karty SIM dla komórki Stefana i po paliwo. Ja miałem załatwić formalności w banku, ale odbijam się od drzwi- dziś jest przecież sobota- idę do Banku Pocztowego- niestety nie mogę tutaj przeprowadzić operacji takiej jaką jestem zainteresowany. Wracam na umówione miejsce. Stefan czeka już z kartą i paliwem.(TAXI) Wracamy na jednostkę. Szykujemy się do odboju. Jest ciepło, słońce za mgiełką, wieje umiarkowany wiatr, chyba nie będzie nam sprzyjał .. Około 11.30 odbój. Płyniemy bezproblemowo, relaks. Tylko raz w śrubę wpadł jakiś patyk i posiekało go na sieczkę. W godzinach południowych wiatr umiarkowany, pod wieczór cichnie. Płyniemy, w okolicach SIENIAWY chcieliśmy zwiedzić zamek CZARTORYSKICH, ale były kłopoty z cumowaniem do brzegu – same krza czole i naszą jednostkę trudno było zatrzymać i gdzieś dowieźć. Zaraz za mostem, pochylone drzewa nad wodę, tych nie lubimy... Pchamy się dalej. Pod wieczór osiągamy STARE MIASTO k/LEŻAJSKA. Rytuał cumowania przy moście, gdzie znaleźliśmy kawałek wykoszonej łąki / jedyna na 40 km Sanu/, idziemy oczywiście do sklepu. Właściwie to jedziemy na rowerach, gdyż stąd jest łatwy wyjazd. Rzeka od ujścia Wisłoka jest już szeroka i spokojniejsza – STATECZNA-. Zaczynamy tęsknić za tym SANEM z górnego biegu. Brakuje nam tej codziennej dawki adrenaliny. No i tych przepięknych widoków Pogórza Dynowskiego. Mijaliśmy jakieś miejscowości, według mapy, nawet o tym nie wiedząc – choć brzeg nie jest już tak wysoki jak przed i w okolicach JAROSŁAWIA, to nadal krzaczory i brak jakiegokolwiek widoczności. Tyle, że pola uprawne są bliżej rzeki, wędkarzy mało, nawet niewiele ich specyficznych siedzib na brzegu – widać i oni mają kłopoty z dotarciem do rzeki. Przy moście spokój. Okazało się, że miejsce do zacumowania idealne. Jesteśmy zadowoleni z decyzji. Tylko do CPN-u spory kawałek. Obiadokolacja – „Kociołek Boloński”.

NIEDZIELA 27.07.2014 r. dz.22 Stare Miasto k/Leżajska

Budzimy się dość późno około m7.30. Powolny rozruch boć to przecież dzisiaj niedziela. Na śniadanie jajecznica z cebulką. Tak się dzień powoli rozwija, że wychodzi na to, że jest gospodarczy. Poprawiamy światło, aby było nad stolikiem w świetlicy. Postanawiam, że dziś zrobię pranie, wykorzystując postój i przepiękną na ten cel pogodę. Stefan chyba też pójdzie w moje ślady, choć na początku był zszokowany, gdy powiesiłem swoje pranie na linkach cumowniczych. Teraz jednak przekonał się i uzupełnia swoje zaległości, jego pranie moczy się w misce. Suszymy nadal dywany naszej rezydencji, bo przy tej temperaturze i wilgotności z różnych zakamarków tratwy zaczynają wyrastać nam brody. (prawie jak nasze). Wstawiam ziemniaki, Stefan będzie robił GZIK z cebulką. Pranie schnie. Uzupełniamy zaległości medialne. Tu mamy

spokój nikt nas nie nagabuje. Tylko dwóch panów rano powracających z pracy z nocnej zmiany w Pogotowiu z ciekawości zboczyło z głównej drogi (trzeba zjechać za most) aby nas pooglądać i dowiedzieć się więcej. Otrzymują wizytówki, pomysł bardzo im się podoba. Jeden z nich gotów nawet był do decyzji o zamustrowaniu /gdyby nie praca/. Soli do ziemniaków sypię na moje „oko”. Pranie sobie schnie. Brody rosną już tylko nam. Suszymy też materiały reklamowe, które ucierpiały w poprzednich incydentach. Obiad- Gzik z ziemniaczkami. Sjesta. Zaczyna się chmurzyć, rusza się wiaterek. Wyruszamy rowerkami do LEŻAJSKA. To kawałek. Praktycznie Stare Miasto i Leżajsk łączą się. Pięknie położone miasteczko, dużo, dużo zieleni. Oczywiście zahaczamy o BROWAR. Oglądamy przepiękny klasztor sióstr benedyktynek. Jedziemy na rynek i żydowski kirkut. Niestety w niedzielę nie możemy go zwiedzić, jest zamknięty. Dziś w Leżajsku jest festiwal międzynarodowych pieśni folklorystycznych.- zatrzymujemy się, słuchamy, żal wyjeżdżać. Musimy jednak poszukać CPN-u i jakiegoś marketu, zrobić zakupy. Tutejsi mieszkańcy wypoczywają, są na pełnym luzie, czuć tą odświeżającą atmosferę. Wszystko załatwiamy i tak się składa, że trafiamy ponownie na festiwal by posłuchać coraz to innej, jakże skocznej i porywającej muzyki. Na tratwę wracamy o zmierzchu. (mnie urwał się bagażnik, coś z tym rowerem mam same kłopoty). Robimy sobie grila – oczywiście z browarkiem LEŻAJSK.

PONIEDZIAŁEK 28.07.2014 r. Dz. 23 start STARE MIASTO k/LEŻAJSKA

7.00 Budzę się, Kapitan śpi jeszcze do 8.00 i nie ma raczej ochoty na wygrzebywanie się ze swojej gawry. Jestem po śniadaniu, wstępnie ogarnąłem tratwę i właściwie możemy (moglibyśmy) już płynąć. Woda opada- jednym końcem wisimy na kamieniu- ale to nic poważnego- jesteśmy po tej głębszej stronie rzeki. Pogoda dziś piękna, lecz już teraz jest umiarkowany wiatr i z godziny na godzinę będzie się wzmacniał. Kapitan śpi. Na niedobudzionym „K” o 8.30 START. Rzeka spokojna. Zaczynają pojawiać się, z początku małe, a z biegiem rzeki coraz większe wysepki. Nurt leniwy- tak to odczuwamy płynąc na malutkich obrotach naszego silniczka. Mamy telefon z naszego rodzinnego UM – dotarła do nich kartka pocztowa z Przemyśla. Cieszymy się, że doszła, bo to niepowtarzalna okazja – 100-lecie walk o twierdzę Przemyśl. Płyniemy relaksowo, jedna osoba może zająć się pracami bosmańskimi lub czymśkolwiek innym. Tratwa powoli nam dosycha, ale jeszcze po kątach jest wilgotna. O czym zapomniałem wspomnieć w tych dotychczasowych relacjach to o pieprzonych MUCHACH, wszelkiego rodzaju gzach, komarach i innym świństwie, które w ogóle nie ma szacunku dla naszych umęczonych już pokrzywami ciał. Przekłęte krwiopijstwo szerzy się wzdłuż całego dotychczasowego spływu i żadne ‘Brośy’ – inne psikacze i psikadełka nie dają rady przeciwko nachalności i natarczywości tego wszelkiego robactwa. Około 11.00 w połowie drogi do KRZESZOWA pojawiają się wielkie łachy mielisz, są jeszcze lekko pod wodą, ale widać, że jest płytko. Około 12.10 przekraczamy most w KRZESZOWIE. Dobijamy do podobnej łąki jak w Starym mieście. Tutaj jest nawet jakiś pomościk pływający przy brzegu i dwie pasażerskie dżonki- w tym jedna wyciągnięta na ląd. Kończę swoje pisanie(tak,tak, teraz mogę w trakcie płynięcia) i szykuję się do wyjścia do miasta. Stefan oczywiście do miasta (czytaj sklepu) ZAWSZE JEST GOTOWY PIERWSZY. Nie zważa na nic – jakby go furie goniły! No dobra ja za chwilę też pójdę, ale muszę powyłączać urządzenia i zamknąć budę. Muchy (p...) gryzą dziś tak, że można dostać szału. Dosłownie GRYŻĄ. Biorę rower i podążam śladami Kapitana. W banku nic nie załatwiam, nie ma możliwości. Idziemy dalej do pobliskiego kościoła- zabytku drewnianej architektury. W Gminnym Ośrodku Kultury – gdzie zostawiam naszą wizytówkę- dowiaduję się, że

po ZAMKU w KRZESZOWIE nie ma już śladu, na tym miejscu są już wybudowane prywatne domy. Kościół jest odremontowany, postępuje renowacja wewnątrz- pozostał jeszcze lewy ołtarz boczny. Mieliśmy okazję to wszystko zobaczyć, bo spotkaliśmy technika, który nam wiele opowiedział. Wracamy. Po drodze sznycelek w miejscowej restauracji. Tu Kapitan brata się z miejscowym 'konsulem' i zostaje troszkę dłużej. Wracam na tratwę, idzie burza- choć jest szansa, że przejdzie bokiem. Wraca Stefan- jest dość rozmowny, ale widzę, że za wszelką cenę stara mi się jakoś dogryźć, sugestia KAPITANA- MOŻE JESZCZE JEDNAK NIE WYPŁYWAJMY. 15.30 Odpływamy. Podnoszę kotwicę i nasz nowy nabytek trap (rzeka zabiera, rzeka daje) długi ciężki kłoc i w drogę. Suniemy po sanie do 18-ej. Na wysokości Rudników zauważamy jakiś mały dopływ i miejsce do wędkowania- najlepsze miejsce do cumowania w zasięgu wzroku. Cóż zauważyliśmy je chwilę za późno, nie dajemy rady dobić z marszu- robimy nawrót i ruszamy pod prąd. Mimo, że brakowało nam około 50 do 70 metrów to mamy spore kłopoty. Silnik rura. Stefan steruje, ja pomagam pychem i tak metr po metrze zdobywamy wysokość aby wtoczyć się do upatrzonej małej 'zatoczki'. W końcu udaje się. Łapiemy się za gałęzie. Trap, lina, drzewo – jesteśmy. Teraz robimy sobie trochę przestrzeni życiowej- te ciekawskie gałęzie łożyny idą odcięte na brzeg. Możemy pomyśleć o kolacji. Stefan ucina sobie drzemkę. Cisza, tylko z okolicznych pól / cywilizacja jest już całkiem blisko/ dochodzi szum pracujących kombajnów. Od czasu do czasu plus wyrzucającej się ryby. Sielanka (gdyby nie te ...komary)... Idziemy do RUDNIKA nad Sanem – zaglądamy tu i ówdzie. Z zewnątrz oglądamy Centrum Wikliny, kościół. CPN około 2 km stąd- idziemy zatankować, wracamy okazją- już ciemno- ciężko w tych chaszczech znaleźć ścieżkę na tratwę. W tym dniu dociera do mnie następna wiadomość o tym, że wnuk IGOR WOJCIECH jest już w domu.... A dziadek gdzieś daleko hen w świecie na tratwingu... Rośnij, rośnij, może zdążymy jeszcze pójść razem na wycieczkę....

W nocy nie mogę spać. Wychodzę na górny pokład – może to już zaczyna się świt, ale niebo jeszcze rozgwieżdżone. Szukam gwiazdy IGORA, gdzieś z pewnością nowa się rozświetliła, mojej też nie mogę znaleźć. Niczego się nie dowiaduję. Cisza, czasem plusk buszującej wydry lub uciekającej ryby. Tylko stare gwiazdy puszczaają do mnie oko. Inne milczą, zazdrośnie kryjąc przede mną swoje tajemnice. Nad ranem idę spać...

WTOREK 29.07.2014 Dz.24 start RUDNIK

8.45 Budzi mnie słońeczko zaglądające przez łożyny do budy. Wychodzę na pokład, wszystko jest w najlepszym porządku. Gdzieś obok tylko jakieś głosy wędkarzy przedzierających się przez chaszcze nad San. Po chwili wstaje Kapitan (samoistnie). Ciepło, lekki wiaterek. Normalne procedury ...- Idziemy do RUDNIKA do Centrum Wikliny, korzystamy z mailowego zaproszenia, które dopadło nas jeszcze na górnym odcinku Sanu. Oprowadza nas miła pani. Jesteśmy zaskoczeni pięknem, smakiem, estetyką nie tylko wyrobów z wikliny – choć przede wszystkim tym. Są tu wystawy towarzyszące, wszystkie ciekawe, bardzo interesująco wyeksponowane. Na to wszystko potrzeba o wiele więcej czasu niż ten, którym dysponujemy. Bardzo pozytywne spotkanie, odczucia. Osobiście jestem zaskoczony jak można w tak interesujący sposób połączyć ze sobą tyle dziedzin z życia małego miasteczka i tego regionu. Wpisujemy się oczywiście do księgi pamiątkowej, pozujemy do zdjęcia do kroniki, wręczamy nasze skromne materiały promocyjne i udajemy się w drogę powrotną przez miasto na tratwę. Upał. Nad rzeką troszkę

więcej chłodu. Szykujemy się do odboju. Dziś mamy tylko kawałeczek. Chcemy dotrzeć do ULANOWA, do siedziby flisaków. Po drodze nadziewamy się na „ruchome piaski” –płycizny , kawałek przed mostem. Z dala widzimy przystań i zacumowane tratwy z bali. Poznajemy po postawionych na nich szałasach. Jak zwykle mamy kłopoty z zacumowaniem, mimo, że wyłączyliśmy silnik. Dość silny wiatr nadaje nam sporą prędkość, nurt tutaj też nie jest zbyt leniwy. Wyskakuję na pomost z liną, która wyslizgując się parzy mi rękę. W efekcie końcowym ładnie wciskamy się za ‘dżonki’ a przed tratwą z bali. Stefan idzie do miasta, ja uzupełniam zaległości medialne. Po wykonaniu swoich obowiązków dołączyłem do Stefana, odwiedzamy RETMANA Związku Flisaków w Ulanowie, jesteśmy przecież w polskiej stolicy FLISAKÓW. Wsłuchujemy się w ciekawe opowieści Retmana pana NIKOLASA. Późnym wieczorem grill. W nocy wydra podkrada nam resztę kiełbasy, która pozostała na górnym pokładzie.

Środa 30.07.2014 r. Dz.25 ULANÓW

Wraz z porankiem odwiedza nas przedstawiciel postępowej części populacji KRAKOWA pan Michał PIECZARKOWSKI. Dzielimy się z nim swoimi wrażeniami i opowieściami z dotychczasowych etapów spływu. Gawędzimy również o Jego przygodach. Jest sympatycznie. Jego wpis do naszego dziennika a więc nie przyjechali samochodem. Są żywi, prawdziwi na tratwie – a tratwa widać, już swoje widziała i przeżyła. Fantastycznie spotkać ludzi, którzy „nie snują.... A realizują”...(Tak jak to w reklamie ING GROUP).

Powodzenia Wam życzę.

Michał Pieczarkowski z Krakowa (ULANÓW, San, 30.07.2014)

Od przygodnych odwiedzających nas osób dowiadujemy się o czekającej nas przeszkodzie w STALOWEJ WOLI. Jest to próg wodny, który można pokonać jedynie przy odpowiednim stanie wody. Musimy skontaktować się z mieszkającym w pobliżu flisakiem panem Mieczysławem Łabęckim – www.fsulanow.pl aby uzyskać więcej informacji – dla nas jest to bardzo ważne. Dzień układa się wizytowo na przystani pojawia się flisak p. Marek Gałęga wraz z sympatykiem flisactwa p. Kazimierzem Kargol. Opowiadamy o swojej przygodzie i wymieniamy doświadczenia, a także na zasadzie wzajemności materiały reklamowe. Panowie bardzo są zainteresowani poznaniem naszych jezior, chcą jakiejś odmiany. Przystań odwiedza młody narybek flisactwo Mateusz, Krzysiek i Grzesiu. Młodzi zakrzętnęli się i po chwili – dzięki temu, że p. Marek przywiózł klucz możemy skorzystać z prysznica i ciepłej wody. Nie muszę chyba pisać o tym jaka to dla nas przyjemność. Gawędzimy tak sobie przez parę godzin. Czas jednak coś postanowić, Stefan idzie do miasta (po papierosy) – oficjalnie sfotografować rzeźbę flisaka w Urzędzie Gminy. W tym czasie udaję się do miejsca zamieszkania flisaka pana Łabędzkiego, niestety nie zastaję Go w domu, mogę porozmawiać jedynie z żoną. Otrzymuję propozycję możliwości zacumowania, wizytówkę , oraz obietnicę udzielenia niezbędnej pomocy. Upał powietrze strasznie parne, burzowe. Trochę manewrów aby wydostać się spomiędzy galarów i tratwy – jesteśmy wolni na wodzie, jest parę minut po 15 ej. Płyniemy relaksowo, miejscami są wypłyenia, idziemy po zewnętrznych łukach bez żadnego problemu. Na horyzoncie widzimy dwa kominy- to elektrownia w STALOWEJ WOLI. Za mostem w Racławicach cumujemy, raczej bez większego problemu- tym razem. Dochodzimy do wniosku, że warto sporządzić coś w rodzaju obiadokolacji. Gotuję resztę

ziemniaków, przysmażam cebulkę, na to podpiekam to resztę kiełbasy, co łaskawie zostawiła (nie zdążyła nam wytargać za pokład) nam Pani Wydra. Niestety „Udo kurczaka w marynacie” z ważnością do 01.08.2014r. strasznie się wzdęło, obraziło się na nas za to, że prym wczoraj daliśmy kiełbasie i obnosi się swoim wzdęciem coraz bardziej. KAPITAN nie przejmując się drobiazgami, twierdzi, że jego żołądek przyjmuje WSZYSTKO ??? – No ciekaw jestem ??? Gotują się ziemniaki, mamy czas na prace medialne. Zaraz zesmażę cebulkę, będzie gotowa, gdy ziemniaki będą dochodziły. Gdy żar trochę ustąpi zamierzamy ruszyć kawałek dalej, lub podjechać rowerkiem obejrzeć przeszkodę. W sumie rezygnujemy z rowerów, jest jeszcze za daleko. Od miejscowego młodzieńca uzyskujemy informację, że trzeba dopłynąć do mostu kolejowego i zacumować kawałek za nim. Stamtąd już tylko jeden kilometr (a nie dwanaście jak tutaj). Dowiadujemy się także, że to nie są te RACŁAWICE pod którymi TADEUSZ KOŚCIUSZKO stoczył zwycięską bitwę nad „ Moskalami”. Rowerki. Dojeżdżam do NISKA i zaraz za rondem w lewo zaczynają się RACŁAWICE. Okazuje się, że tu również były walki ale w okresie POTOPU szwedzkiego. Partyzancka armia chłopska osłaniała tyły armii Stefana Czarnieckiego. Zginęło ponad 1000 partyzantów chłopskich i ku ich pamięci ufundowano tablicę umieszczoną na kamieniu przy krzyżu.

Czytamy m. innymi „ 28 marca 1656 w czasie „POTOPU” pod Niskiem i Racławicami rozegrała się bitwa wojsk regimentarza koronnego Stefana Czarnieckiego z armią Karola Gustawa, piechurzy chłopscy, osłaniając odwrót jazdy polskiej dzielnie stawili opór Szwedom. Z dwutysięcznego oddziału poległo tysiąc dwustu chłopskich partyzantów. Ta mogiła i krzyż w Racławicach upamiętniają dla pokoleń ofiarę krwi złożoną w obronie wiary i ojczyzny...”

Wracając haczmy o bar, w którym Starszy Pan po uzyskaniu informacji, iż płyniemy tratwą po Sanie obdarowuje nas literaturą związaną z miejscowymi tradycjami, a ponadto zaprasza nas na jutro na śniadanie. Troszczy się o to czy nam czegoś nie trzeba, chcąc być pomocnym w zaspokojeniu naszych ewentualnych potrzeb. Późnym wieczorem wracamy na naszą jeszcze oświetloną resztkami iluminacji tratwę.

CZWARTEK 31.07.2014 r . Dz. 26 most w pobliżu NISKA i Racławic

8.30 KAWA.

Mamy zaproszenie na śniadanie, więc wykonujemy bardzo spokojne ruchy. Zajęcia kulturalne, przeglądamy udostępnioną nam przez Pana literaturę „ Z Niska na Monte Cassino” – wspomnienia wojenne Józefa Płachcińskiego i inne... Na śniadanie jajecznicą z sałatką z pomidorów i cebulką, herbata, kawa. (bardzo smacznie przyrządzone). Wręczamy Panu nasze materiały reklamowe, mamy nadzieję, że również ktoś z przejezdnych gości skorzysta z tych informacji. Często w rozmowach spotykamy się ze stwierdzeniem, iż nasz region jest pomijany w drodze nad morze , wielu naszych rozmówców stwierdza, że dopiero po rozmowie z nami są przekonani, że warto tu się zatrzymać i zapoznać z miejscowymi atrakcjami turystycznymi i przyrodą. Deklarują swoją chęć pobytu na naszym terenie. W rozmowie dowiadujemy się kilku ciekawostek odnośnie Sanu i ‘dziwnej wody’ na działce właściciela baru „POLONEZ”. Przy barze pracownik rąbie drewno na zimę, oczywiście muszę z nim choć chwilę porozmawiać. Wracamy – upał straszny, duchota, przed wyruszeniem odwiedza nas dwóch młodych ludzi, którzy płyną tratwami (najemni flisacy). Bardzo podoba im się nasza wyprawa, (i znów, gdyby nie ta praca mielibyśmy kolejne zamustrowanie). Otrzymują nasze gadżety. Wypływamy – do STALOWE WOLI

docieramy bez żadnych problemów. Cumujemy w sporej odległości od przepławki, wyciągamy rowerki i jedziemy na rozpoznanie. Na miejscu miny nam rzedną, ale kombinujemy co można by zrobić aby pokonać tę kolejną przeszkodę. Nie ma już tu przycumowanych barek, o których ostrzegali nas flisacy, ale są za to wystające pachołki do ich cumowania usytuowane na trasie naszego toru. Nurt jest szybki a odległość pozwalająca na jakikolwiek manewr bardzo mała!!

Jedziemy do miasta, schodzi nam tam trochę czasu. Obiadokolacja tym razem w barze „KAPRYS” nie jest sponsorowana, ale równie smaczna. Prowiant i na tratwę. Przystawiamy się bliżej przeprawy. Teraz jesteśmy ok. 200 m od katarakty. Czas wyczekiwania, refleksji i obmyślenia. Wykonujemy telefon do flisaka, z którym nie zdołaliśmy się spotkać w Ulanowie, pana Łabędzkiego. Zasięgamy informacji o przepławce i jego opinii odnośnie możliwości pokonania przeszkody. Wieczorem zauważamy, że woda zaczyna lekko przybierać, bardzo powoli, ale jednak. Zobaczymy co przyniesie jutro- idziemy spać. Wieczorem wokół nas były burze. Może przyjdzie jakaś „RAPTÓWKA”(choć na tym odcinku rzeka zachowuje się już zupełnie inaczej....

PIĄTEK 01.08.2014 r. Dz. 27 STALOWA WOLA (przy przepławce)

7.30 rozruch i prace medialne, uzupełnianie do stanu bieżącego. Szykujemy się do przepławki. Przesuwamy się po parę metrów brzegiem w kierunku kaskady. Nagle dzwoni telefon z naszego macierzystego UM informujący, iż wiadomo im o naszych kłopotach i zwrócą się do Urzędu Marszałkowskiego w Stalowej Woli o udzielenie nam stosownej pomocy. Po jakimś czasie pojawia się przedstawiciel urzędu, ocenia sytuację i powiadamia OSP. Za jakiś czas pojawiają się strażacy. Omawiamy strategię przejścia w zasadzie wszystko jest już przygotowane, czekamy na rozkaz dowódcy operacji. Czekamy, czekamy, wszyscy są w pogotowiu, tylko, że nic się nie dzieje. Skwar niemiłosierny, czekamy ze Stefanem na pomoście jak na patelni, pot leje się z nas ciurkiem .. i nic Jacys panowie dyskutują... Czas nadal ucieka, nasza cierpliwość również, ale co możemy zrobić czekając na pomoście na rozkaz odcumowania tratwy? Pod wieczór uprzejmie informują nas, że jednak nie mogą nam pomóc z uwagi na zbyt duże ryzyko, zagrożenie mienia państwowego(????) i inne takie trele morele...(Rzeczywiście dwa pozostawione stalowe pachołki służące do cumowania barek naprawdę mogłyby ucierpieć w spotkaniu I stopnia z naszą „Myrdyrdą”). Odwołuję akcję. Sygnał odboju. Stoimy na tym pomoście jak te palanty, odwodnieni, głodni i do tego bez żadnego efektu . Pozostajemy sami z dobrymi radami pozostawionymi na dowidzenia około 20 metrów przed nurtem przepławki przycumowani do zapory przeciwlodowej. „Sztab antykryzysowy” zwija się błyskawicznie. Schodzimy z pomostu, idziemy jeszcze raz dokładnie obejrzeć gdzie my właściwie jesteśmy i czy rzeczywiście nie mamy żadnych szans- jak ocenił sztab. Dziś jest jednak już za późno na jakiegokolwiek działanie. Dzień został zmarnowany właściwie nawet nie wiemy dlaczego, nie dopuszczono nas do głosu w dyskusjach dotyczących naszej sprawy... Gratulujemy STALOWEJ WOLI TAKICH ODWAŻNYCH DECYDENTÓW W SZTABIE ANTYKRYZYSOWYM. (Nie mamy żalu do strażaków, którzy, jak wyczuliśmy, byli chętni i gotowi podjąć ryzyko na które my i nasza „Myrdyrda” byliśmy w pełni zdecydowani). Nocujemy nad wodospadem, w nocy śni mi się Niagara i dzicy Indianie...

SOBOTA 02.08.2014 DZIEŃ 28 NADAL STALOWA WOLA PRZED PRZEPŁAWKĄ

Wstajemy w średnich nastrojach, ale z niezłomną wolą pokonania trudności przed jakimi przyszło nam stanąć i zmierzyć się w samotności. Pierwszy etap - czyszcimy tratwę – wszelkie cenne rzeczy wystawiamy na pływający pomost. Właściwie ewakuacja z tratwy. Stefan sugeruje, aby to wszystko zostawić do momentu podejścia do schodków przy samej (bezpośrednio przed progiem) przepławce. Właściwie (jak się później okazało) można było tak zrobić. Ja jednak byłem zwolennikiem bezpiecznej opcji, choć bardziej pracochłonnej. W końcu osiągnęliśmy kompromis i naprzód z odchudzoną tratwą. Centymetr po centymetrze na linach podprowadzamy MYRDYRDĘ na próg, tu zaczyna się już spadek wody, ale my jesteśmy przytuleni do samego brzegu i dociągnięci linami. Wynosimy jeszcze część rzeczy z tratwy. Podciągamy ją jako przedłużenie pomostu i przenosimy wszystko na suchy ląd. Niestety Stefan postanawia, że zostaje silnik i ponton. Teraz zaczyna się opracowywanie taktyki na samą przepławkę. Mamy ograniczoną liczbę lin (nie to co wczoraj z drużyną OSP) i jest nas tylko dwóch. Rozpatrujemy różne scenariusze, rysujemy schematy działania sił, kłócimy się czasem (dwóch inżynierów), w sumie adrenalina daje nam momentami popalić. W ostatecznym efekcie ustalamy harmonogram postępowania. Chyba z kilka razy analizujemy przyjętą koncepcję. Dochodzimy do wniosku, że przy tych siłach i środkach nic lepszego nie da się wymyślić i zrealizować. Ale jakiś czas zwlekamy z rozpoczęciem akcji. Jest ryzyko utraty naszej MYRDYRDY na parę kilometrów przed zaliczeniem Sanu. Niestety nie mamy wyjścia, wycofanie przy tym stanie zaawansowania przeprawy (od momentu, gdy Sztab? zostawił nas przed przepławką) jest bardzo trudne, choć może nie niemożliwe – ale my nie chcemy się cofnąć przed napotykającymi nas trudnościami. Jesteśmy przekonani, że musimy stawić czoła temu kolejnemu wyzwaniu, które rzucił nam pod nogi SAN. Zwlekamy, ale ŻAR z nieba leje się coraz większym strumieniem, tak jak nurt na przepławce. W końcu pada komenda START. Stefan przegryzł wszystko w sobie i daje rozkazy. Wiemy co, kiedy i jak mamy robić, lawina ruszyła, wszystko odbyło się za ledwie w kilka sekund, tylko że za chwilę zorientowaliśmy się, że mamy poparzone ręce i odciski do krwi na rękach (niestety nie mieliśmy rękawic). Okazuje się, że mimo nie do końca przewidzianego zachowania tratwy w trakcie operacji - wynik ostateczny I etapu był taki jak przewidzieliśmy. Tylko jedna z lin nie wytrzymała, usłyszeliśmy bzyk! jak z cięciwy napiętego łuku i tyle. II etap operacji choć teoretycznie łatwiejszy w praktyce przy posiadanym sprzęcie sprawiał nam o wiele większy kłopot. I znów po wzajemnej dyskusji, rozpatrywaniu możliwych scenariuszy, różnicy zdań, czasem wręcz przepierania się dochodzimy do wniosku, że trzeba udać się do miasta po zakup długiej liny. Jedziemy rowerami do głównej szosy, zostawiamy je na dyżurce w Spółdzielni Mleczarskiej (bardzo przychylnie potraktowani przez Panią, a potem Pana pilnującego obiektu), bierzemy TAXI, żeby szybciej i sprawniej pozafatwiać to co nam niezbędne. Jest SOBOTA popołudnie, część sklepów już zamknięta, na szczęście „MAJSTER” jest otwarty i są potrzebne nam liny. Po drodze mamy zamiar coś na szybko zjeść w barze KAPRYS, który znamy już z poprzedniej wizyty - ale niestety w sobotę był czynny tylko do 16-tej. Musimy zadowolić się tylko zakupami w sklepie. Głównie płyny, gdyż żar jest niesamowity. Pan z TAXI zapoznany z naszym problemem stara się nam pomóc na wszelkie sposoby, podwozi nas do osoby, która dysponuje łódką (w I wariacie mocujemy linę po drugiej stronie rzeki do larsenu i odpychamy tratwę, którą w odpowiednim momencie odcinamy i wyłapujemy na spokojnej wodzie). Niestety, z braku możliwości

wykorzystania łodzi (pan od łodzi jest na grillu) i przywiązanie liny na drugiej stronie rzeki (wariant najbardziej bezpieczny) odpada. Musimy realizować wariant II czyli wszystkie operacje

po naszej stronie. Cały problem polega na tym, by MYRDYRDA nie wpadła na pachołki pozostawione do mocowania barek. Przy tym nurcie grozi jej zagłada. Przygotowujemy znów kombinację mocowań, lin. Wszystko w końcu jest gotowe. Tylko, że jest nas tylko dwóch, do sfinalizowania II etapu potrzebujemy jeszcze przynajmniej 2-3 osoby. I tu Stefan próbuje zorganizować pomoc dzwoniąc do osób, które wcześniej deklarowały jakąś pomoc. Telefon do straży nic nie daje – nie ma zagrożenia życia. Flisacy z Ulanowa nie podejmują wyzwania, są na własnych uroczystościach. Nie możemy znikąd zorganizować potrzebnych nam ludzi. Czas ucieka, ma się ku wieczorowi, jesteśmy zdeterminowani już sami rozpocząć, ale przychodzi nam do głowy pan z TAXI, zostawił nam swój telefon „bo jakby co.. to..” i dzwonimy. Akurat je kolację, umawiamy się, że za pół godziny będzie i kogoś przywiezie. Czekamy, wszystko przygotowane. Ta najdłuższa, lina, którą kupiliśmy służy do wyhamowania tratwy, gdy już minie te niebezpieczne pachołki. Są taksówkarze – za nimi pojawia się też dwóch młodych ludzi zaintrygowanych zdarzeniem, są tu gdzieś na rybach, a w krzakach nie było ich widać – ale teraz są. Krótko wyjaśniamy - co i kiedy każdy ma wykonać. Ustawiamy się i wydaję komendę - START. Panowie spychają rufę MYRDYRDY na wodę. (w międzyczasie jakoś udało nam się zabrać silnik, którego wcześniej Stefan nie chciał zdjąć) Prąd zabiera ją w kierunku środka rzeki, my w tym czasie z całą możliwą siłą odciągamy linami część dziobową również w kierunku środka, tak aby przynajmniej wyciągnąć ją na wysokość pachołków. Stefan odcina liny trzymające rufę. Prąd jest tak silny, że nie udaje się dociągnąć dziobu za pachołki, przód MYRDYRDY na wysokości około 1/3 uderza w pachołek. To jest moment krytyczny. Tratwa w mgnieniu oka zanurza się do wysokości naszych siedzisk (skrzynię narzędziową przezornie zabraliśmy z pokładu wcześniej). Kipiel przewala się przez pokład. Panowie nie znający budowy naszej jednostki krzyczą, że tonie. My jednak wiemy, że ona tylko przeżywa ciężkie chwile. Moment i widzimy, że podnosi się z upadku, tak jak kiosk okrętu podwodnego wynurza się z mętnej wody Sanu i mknie już wolna w dół rzeki, poza pachołkami. Teraz z wyczuciem wyhamowujemy ją na tej długiej linie. Gdy jest na wysokości krótkiego larsenu za przepławką ściągamy linę. MYRDYRDA posłusznie zbliża się do brzegu. Wyłapujemy ją i cumujemy do tej, w tym przypadku sprzyjającej nam przeszkody. II etap operacji zakończony sukcesem. Teraz pozostało nam ponownie wszystko dostarczyć na tratwę i naprawić drobne usterki, poodginane blachy itp. Jest już późno, mrok – zdążyliśmy w ostatniej chwili. Jeszcze pamiątkowa fotka z młodymi (nie wszyscy chcieli być uwiecznieni – woleli być anonimowi) i emocje nas opuszczają. Idę pieszo po pozostawione na dyżurce w spółdzielni mleczarskiej rowery. Stefan pilnuje dobytku i przenosi część w pobliże MYRDYRDY. Nie chce nam się jeść nawet kolacji. Idziemy spać... Strasznie huśta? za tym larsenem i czasem tłucze?. Nie mogę spać, może to nadmiar wrażeń. W nocy sprawdzam kilka razy czy woda się nie podnosi (lub opada), ale tu rzeka jest już bardziej stabilna, nic się nie dzieje. Zasypiam nad ranem – choć tyle. No i nie musieliśmy spać pod gołym niebem, bo i taki scenariusz był możliwy. Jak na weekendowy, upalny dzień dość wrażeń. Panowie dozorujący pobliskie tereny zakładów bardzo życzliwie podeszli do naszych problemów, choć nic nie mogli nam pomóc, to dobre ich słowo i życzliwość dodawało nam otuchy i wspierało w naszych zmaganiach z trudnościami. BARDZO IM ZA TO DZIĘKUJEMY!! Teraz już na spokojnie analizując – wiemy, że II etapu bez pomocy tych bezimiennych wolontariuszy z pewnością nie bylibyśmy w stanie wykonać. Po prostu była potrzebna dodatkowa siła fizyczna, którą my sami nie dysponowaliśmy. DZIĘKUJEMY WAM PANOWIE, którzy uratowaliście honor tej lepszej populacji STALOWEJ WOLI. A i jeszcze jedna uwaga już późnym wieczorem brzegiem Sanu przechodziła grupka tutejszej młodzieży, może nie do końca układnej, bo panowie z ochrony nie byli zadowoleni. Ale w efekcie końcowym, po

zaprezentowaniu im naszego „wynałazku” dogadaliśmy się i otrzymaliśmy z ich strony pomoc. Poznosili nam wszystkie ciężkie rzeczy z brzegu na tratwę, za co byliśmy im wdzięczni. Odwdzięczyliśmy się im jedynie naszymi wizytówkami. Strasznie natarczywe tego wieczoru komary skróciły nasze spotkanie. Reszta nie jest istotna – nie da się opisać wszystkiego. Ważne jest jedno – podsumowując – pokonaliśmy jeszcze jedną stojącą na naszej drodze przeszkodę – mamy szansę płynąć dalej.

NIEDZIELA 03.08.2014 Dzień 29 STALOWA WOLA

Klarowanie lin. Sprzątanie. Instalacja butli gazowej. KAWA. Spisanie wrażeń, dziś mogą być następne (oby nie), więc trzeba dopełnić obowiązku wobec naszych fanów. Szykujemy się do opuszczenia tego nieprzychylnego nam miejsca. To jednak trochę trwa... Zapowiada się kolejny upalny dzień. Nabieramy wody do ochraniaczy, pijemy kawę i odbój ! - Podróż relaksowa. Po drodze spotykamy motorówkę szalejącą z pontonem na linie i tylko to, co dzieje się na rzece. Za to w powietrzu obserwujemy awionetkę holującą szybowiec, szkolą się młodzi piloci, bo po wyczepieniu samolot wraca na lotnisko, a za nim po pewnym czasie szybowiec. Piękne przykłady wykorzystania sił przyrody. Każdy znajduje coś dla siebie. Upał, choć słońeczko na początku za cienkimi chmurkami. Dopływamy do mostu w Radomyślu nad Sanem. Tu robimy sobie postój. Odpoczywamy. Stefan jedzie do wsi (miasteczka), ja mam czas na weryfikację swoich rzeczy, dochodzę do wniosku, że w warunkach tratwianych nie będę mi przydatne, ponieważ praktyka wykazała, że spokojnie można z nich zrezygnować bez ujemny dla przebiegu tratwingu. Telefon wyrывa mnie z błogostanu ciszy, spokoju i rozważań co jeszcze może się przydać. Stefan załatwił ciepły prysznic. Oczywiście kończę swoje zajęcia i zjawiam się w miasteczku. Okazuje się, że funkcjonuje tu hotel, dom weselny i restauracja. Wracamy odświeżeni, zrelaksowani. Podjeżdżamy na miejsce cumowania i stajemy jak wryci – NIE MA NASZEJ TRATWY – NIE MA MYRDYRDY – Patrzmy po sobie – NO NIE MA – ZATOCZKA PUSTA. Po chwili uświadamiamy sobie, że stoimy w identycznej, ale nie TEJ ZATOCZCE , lecz niepokój pozostaje. Jedziemy dalej, natrafiamy w końcu na „nasze” krzaki. Z niepokojem wypatrujemy najwyższych punktów MYRDYRDY - JEST – parasol. Uśmiechy wracają na nasze twarze – Urządzamy sobie wieczór kulturalny. Tylko te komary – Okropność – Ubieramy się w grube ciuchy, teraz trzeba tylko chronić twarz i ręce. Mimo wszystko jesteśmy zadowoleni z dzisiejszego dnia.

PONIEDZIAŁEK 04.08.2014 r. Dz 30 RADOMYŚL n/Sanem przed mostem

6.50 – wstaje piękny dzień, bezwietrznie, cichutko, słońeczko już zaczyna dogrzewać. Nareszcie się wyspałem, bez huku spienionego nurtu Sanu na przepławce, huśtania i obijania o larsen , z wiejskim zapachem traw i odgłosami życia w oddali – wypoczywa się zupełnie inaczej... Dziś ma przyjechać STASZEK – MAJTEK tratwingu (z czasem z pewnością awansuje). Na „Myrdyrdzie” czeka na niego Stefan, ja szykuję się do zwiedzania SANDOMIERZA. KAPITAN śpi, bo niby po co miałby tak wcześnie wstać? Zjem śniadanko, rowerek i SANDOMIERZ – to tylko 26 kilometrów. Dojeżdżam na rynek w miarę wcześnie. Po drodze mijam kilka prywatnych cegielni, przypominają

mi czasy dzieciństwa, gdy i u nas działała cegielnia... Sandomierz, stare miasto-nie podejmuję się tu opisywać tego uroczego historycznego miejsca. To trzeba zobaczyć i samemu ocenić. Na uwagę zasługuje jedynie fakt, że w katedrze spotkałem wycieczkę z rodzinnego miasta i znajome twarze. Zrobiliśmy sobie pamiątkową fotkę z Tereską W. i Władkiem Sz. Obie strony były zaskoczone tym przypadkowym spotkaniem. Smaczny obiadek zjadam w barze „U Jakuba”. Żar leje się z nieba, trochę wytchnienia w sandomierskich piwnicach. Włóczę się jeszcze po starówce, brama opatowska, piękna panorama, kościółek św. Jakuba, marina nad Wisłą.. Jeden dzień niestety to stanowczo za mało. Powoli trzeba się szykować do odwrotu. Po drodze goni mnie burza, ale z dużej chmury mały deszcz, suchy wracam na „Myrdyrde”. Koledzy właśnie wracają z RADOMYŚLA. Będzie grill powitalny kolegi STANISŁAWA. I tak się dzieje. W trakcie biesiady odnajduje nas zaintrygowana widokiem z mostu para młodych (może narzeczeństwo?), zapraszamy ich aby przysiedli się do naszego skromnego stołu. Jest bardzo sympatycznie. Młodzi fantastycznie śpiewają i nie tylko po polsku.. Uczą się języków właśnie poprzez śpiew, a zauważyli nas wracając z nauki pływania. W końcu trzeba się jednak rozstać, oni też mają jakieś obowiązki.. Opowiadamy im o naszej wyprawie, naszym regionie, jeziorach – tego ostatniego szczególnie nam zazdroszczą- zapraszamy. Odjeżdżają lecz po dłuższej chwili ponownie snop reflektorów samochodowych. Młodzi wracają na chwilę dostarczając nam wraz z życzeniami pomyślnych wiatrów dwie zgrzewki napoju chłodzącego....

WTOREK 05.08.2014 r. Dz.31 start spod mostu w RADOMYŚLU n/Sanem

Ciepło, nie ma słońca. Śniadanko – pozostałość po wczorajszym grillu. W trakcie składają nam wizytę przedstawiciele Gminy ZALESZANY – przywożą swoje materiały promocyjne i dobre słowo. Rewanżujemy się swoimi i opowieścią o dotychczasowych poczynaniach. Wspólna fotka i życie toczy się dalej. Przygotowujemy się do odboju. Woda, w czasie od naszego cumowania, opadła o około 60 cm. Kilka razy luzowaliśmy cumę aby nie osiąść w błocie. Trzeba bardzo uważać przy wychodzeniu na ląd. Z ciekawostek – KAPITAN zauważył, że śpi jednak na wilgotnych materacach- czeka się jeszcze STALOWA WOLA. Około 11-ej ruszamy. STASIU za kołem sterowym. Przed samym odbojem, a właściwie w trakcie, dopada nas motocyklista, który z mostu zaobserwował camping i będąc przekonany, że zabrało go gdzieś z pola namiotowego podjechał sprawdzić stan faktyczny. Chwila wyjaśnień, wizytówka- ruszamy. Płyniemy spokojnie, czasem musimy podnosić nasz mały silniczek, nie chcemy uprawiać orki Sanu. Mijamy ostatni prom na Sanie. Stasiu dzielnie radzi sobie z zauważonymi przeszkodami. Powoli zbliżamy się do ujścia Sanu do WISŁY. Na tą okoliczność „MYRDYRDA” zostaje doprowadzona do stanu swojej dokowej świetności (no prawie). Godzina 13.08 żegnamy świętą rzekę SAN!!! WITAJ WISŁO !!! „MYRDYRDA” wraz z całą załogą POZDRAWIA CIĘ i prosi o pozwolenie płynięcia... Płyńcie Wisła płynięcie. po Polskiej krainie, a dopóki płynie POLSKA NIE ZAGINIE... Wisło daj nam stopy wody pod naszymi umęczonymi pływakami....

Chwilę za ujściem Sanu odczytujemy pierwszą tabliczkę kilometrówki Wisły – opiewa na 281 kilometr. Płyniemy spokojnie, Stasiu wprawia się za sterem, my mamy luz. Nareszcie mam okazję spokojnie zaprowadzić porządek na tratwie. Docieramy do ZAWICHOSTU. Wpływamy do zatoczki za promem (Uwaga! dolnolinowy). Stefan ze Stasiem udają się do miasteczka, przedtem jednak przygodny kierowca zamierzający przepłynąć na drugą stronę Wisły podrzuca kolegów do

CPN-u po paliwo. Piję gorącą herbatę, dojadam coś i idę w ślady S & S. Wyrzało słońce, znów upał, duchota, chce się pic... Biją miejscowe kuranty, jeden z nich ma bardziej dostojny ton. Wybijają cztery razy... !8.00 odbijamy. Stasiu nadal za sterem. Spodobało mu się. Tym razem płyniemy pod wiatr. Za nami i po prawej zbiera się na burzę. Cumujemy na wyspie przed mostem w Annopolu.

ŚRODA 06.08.2014 r. Dz.,32 (start od wysepki przed mostem w ANNOPOLU)

Burza idzie bokiem, ale dzień wstaje pochmurny. Jest wiele chłodniej i wieje umiarkowany wiatr – niestety przeciwny. Około 9-ej podnosimy cumy. Zaraz za mostem wpadamy na mieliznę. (Woda mętna, nic nie widać, czasem trudno zorientować się o stanie wody.) Pełno tu wysepek, zakoli, mierzei, kępek traw na środku rzeki, piaszczystych łach – dzika rzeka –tylko inaczej od Sanu. STASIU za sterem radzi sobie nieźle. Płyniemy. !0.00 ponownie wpadamy na mieliznę. Dzień nadal mglisty, bez słońca. 11.50 jesteśmy na wysokości NIESZAWY, lecz z rzeki widzimy zaledwie wieżyczkę miejscowego kościółka. Na trasie nadal mnóstwo wysepek, płycizn, zatok i zatoczek (których tak nam brakowało na Sanie). 12.37 317-ty kilometr, zbliżamy się do Józefowa nad Wisłą. Na horyzoncie jakiś nieduży prom. Mateusz i Jasiek na „pychówce” spotykają nas u ujścia rzeczki. Nieopatrznie wpływamy w ujście, przedzierając się rozpędem przez łachę mielizny, żeby „pogadać”. Okazuje się, że był to ewidentny błąd nawigacyjny. Pogawędka, owszem owocna, okazało się, że to właśnie oni płynęli do ULANOWA i zrezygnowali na progu w STALOWEJ WOLI. Po miłym rozstaniu przyszło nam ponownie wypłynąć na szerokie wody Wisły, ale wyjście z zatoczki okazało się koszmarem. Wiatr wypychał nas do zatoki, nurt Wisły zdecydował się na cofkę i w dodatku płycizna na samym środku wąskiego ujścia. Chyba z 1,5 godziny ciężko (bardzo) walczyliśmy o wyjście na WISŁĘ, centymetr po centymetrze przesuwając tratwę w kierunku ujścia. Ponownie przydała nam się długa lina zakupiona w Stalowej Woli. Wszyscy musieliśmy zamoczyć nogawki w przybrzeżnym „maselku”, do tego wylazło słońeczko dopiekając nas natychmiast. Zrobiło się gorąco, nie tylko od słońca, po prostu brakowało nam sił. A tak było spokojnie – tylko, że STASIOWI też trzeba dostarczyć odpowiednią dawkę adrenaliny. On też ma obowiązek opisać swoje przygody... Około 14 –ej jesteśmy w końcu na Wiśle. Dopływamy do SOLCA n/Wisłą i tu szukamy miejsca do zacumowania. Przystawiamy się dwa razy zanim znajdujemy odpowiednią zatoczkę (Tak, tak na Wiśle jest w bród zatoczek). STASIU zostaje na wachcie, my ze Stefanem idziemy (błąd, że nie bierzemy rowerów) do miasteczka, mamy załatwić między innymi trochę paliwa. Polegamy na opisie odległości miejscowego wędkarza, niestety, jak to bywa, „kawałeczek” okazuje się całkiem sporym kawałem i to jeszcze z górki pod górkę. Rezygnujemy z opcji załatwienia paliwa, mamy go jeszcze na tyle by starczyło na jutrzejszy dzień. Załatwiamy, co niezbędne i wracamy z prowiantem (ciepły placek po węgiersku) dla STASIA na tratwę. Gdzieś daleko za rzeką dochodzą nas odgłosy burzy, ale u nas jest jeszcze spokojnie. Placek po węgiersku w miejscowym barze był wspaniały. Obsługującej nas pani zostawiamy naszą wizytówkę i gadżecie w postaci rybki z wygrawerowaną naszą stroną internetową. Pogawędka wieczorna i idziemy spać.

CZWARTEK 07.08.2014 r. Dz.33 start zatoczka SOLEC n/Wisłą

Rozruch w normalnym trybie. Około 9.10 jesteśmy gotowi podnieść cumy. Żegnamy SOLEC n/Wisłą. Przy promie pozdrawiają nas oczekujący na przeprawę, od nich dowiadujemy się, że wczoraj tędy też płynęła tratwa – okazuje się jednak, że ta tratwa to nasza „MYRDYRDA”. Naszym rozmówcą jest właściciel baru gdzie wczoraj KASIA podawała nam pyszne placki po węgiersku i piwo. Wzajemne pozdrowienia, nurt znosi nas w dół rzeki. 10.50 drobna usterka nawigacyjna, chwilowe zagapienie się i siedzimy na mieliźnie, znów spychamy się w kierunku głębszej wody z naniesionego bardzo rzadkiego piaseczku. 11.20 spotykamy samotnego żeglarza, płynie małą łódką z ANNOPOLA do PUŁAW – na długość urlopu. Po dłuższej chwili zostawiamy go jako mały punkcik na horyzoncie. 11.30 pojawia się JASIEK ze swoją pychówką, wraca do SOLCA z wczorajszego koncertu Kazimierza Dolnym. Pozdrowienia, informacja o wczorajszym wyjściu z zatoczki, wymiana telefonów i każdy dalej w swoją stronę. Około 13.30 osiągamy KAZIMIERZ DOLNY. Przed samym promem ruch jak na Marszałkowskiej. Dżonka, stateczek wycieczkowy, koga „Pirat” z rzeszą turystów na pokładzie. Okrzyki, wiwaty, zdjęcia... Wchodzimy do zatoczki zaraz za promem. Stefan pełni wachtę na Myrdyrdzie, my ze Stasiem opuszczamy łajbę i jedziemy rowerkami zwiedzić JANOWIECpodrugiej stronie rzeki. Przeprawa promem z rowerem w jedną stronę dla emeryta 4 PLN. Ruiny zamku i prezentowane ekspozycje wywierają na mnie duże wrażenie, rozbudzają wyobraźnię. Rodowa siedziba FIRLEJÓW prezentuje się okazale, choć w zdecydowanej części jest ruiną. Zwiedzamy również inne towarzyszące ekspozycje i przeniesiony tu dworek rodziny ZEMBRZUSKICH z Moniek. Chciałoby się choć na chwilę w nim pomieszkać aby zaznać klimatu i ducha tego minionego czasu... Późniejszym popołudniem wracamy na swoją stronę. Teraz udajemy się w trójkę do KAZIMIERZA DOLNEGO – do miasta- głównie na RYNEK. Trwają tu cykliczne obchody-festiwal filmu i sztuki „DWA BRZEGI” (od 2do 10 sierpnia). Bierzemy w nim udział na swój sposób i zgodnie z naszymi możliwościami. Na pokład wracamy późnym wieczorem. Mnie udaje się uciec przed nadchodzącym deszczem rowerkiem, reszta załogi twierdzi, że odległość tą pokonała pieszo (tylko stan ich okrycia w żaden sposób tego nie potwierdzał). W nocy rozpętała się potężna burza, wreszcie nas dopadła (do tej pory udawało się nam jakoś wykręcać się jej bokami). W nocy kilka razy sprawdzam cumy. Woda przybiera- ale powoli, nie tak jak na SANIE. Ulewa jakby lał z wiaderka. Nasz biedny dach domku nie wytrzymuje, przez niewidoczne dla nas szczeliny łapiemy dwa garnki wody – przyda się jako „gospodarcza”....

PIĄTEK 08.08.2014 r. Dz. 34 KAZIMIERZ DOLNY n /Wisłą

7.30 przez prom od strony JANOWCA nadjeżdża furgon dostawczy ze świeżym pieczywem. Zaopatrujemy się jako pierwsi / rogaliczki, drożdżóweczki.../ Powolnemu startowi po wczorajszych wożach w Kazimierzu Dolnym sprzyja łagodna pogoda, słońce nie daje po oczach, przyjemny chłodek, lekka wilgoć spływająca gdzieś niegdzie z nieba... Mamy kilka zaległości do uzupełnienia, jakieś drobne zaopatrzenie, woda pitna, trochę paliwa... Jadę rowerkiem do miasta po paliwo i wodę, reszta później w Puławach. Gdy wracam jest już pora na kawę, odbój o 12 –ej. Nadal dzień pochmurny, lekko pokropuje, ale w miarę ciepło. Płyniemy. Od strony rzeki piękny widok na sztandarowe budowle KAZIMIERZA DOLNEGO /trochę takie większe nasze PYZDRY, które równie uroczo wyglądają od strony WARTY/. Za sterem nadal Stasiu. Polubił tą fuchę i całkiem dobrze sobie z nią radzi. Około 13.10 mijamy prom dolno linowy w NASIŁOWIE, sygnalizuje i daje nam pierwszeństwo. Jakiś czas później na horyzoncie pojawia się motorówka w

kolorze biało niebieskim. To stróże porządku patrolują rzekę. Podpływają, rozmawiamy o tym dokąd płyniemy. Pozdrowienia, materiały reklamowe i każdy rusza w swoją stronę. Dochodzimy do Puław, pierwsze podejście nie trafione. Wylądowaliśmy na dawnej przystani, która okazuje się być już w rękach prywatnych, po lewej stronie przed pierwszym mostem. Nie możemy tu zostać. Właściciel gdzieś na wczasach, a dozorujący mężczyzna decyzji podjąć nie może / monitoring/. Odbijamy, płyniemy kawałek za most, po prawej za pogłębiarką jest przystań, właściwie port. Niestety jest zamknięta. Stoi znak zakazu kotwiczenia. Nie mamy wyboru, chcąc tu się zatrzymać /jesteśmy umówieni w Puławach aby przyjąć na pokład następnego uczestnika JASIA/ przesuwamy się w kącik zatoczki, przed znak zakazu i cumujemy do jakiegoś drzewa. Jak na razie spokój nikt nas nie przegania. Robimy co do nas należy. Stasiu właśnie przyrządził smaczną zupkę z papierka. Omawiamy strategię na resztę dnia w oczekiwaniu na JASIA. Pełnię wachtę, oni wychodzą, później zmiana, idę do pobliskiej "Tawerny" na obiadokolację. Odwiedza nas miejscowy żeglarz (chyba jedyny - jak twierdzi- w tej okolicy, spotkaliśmy go wcześniej na wodzie.)Długo zatrzymuje się na tratwie gawędząc ze Stefanem. Późnym wieczorem dociera JAŚ. Samochód pozostawił w Dęblinie i stamtąd będzie wracał. SYEFAN nadal dyskutuje. Nasza trójka decyduje się na wypad po paliwo. Niestety nadrabiamy drogi, bo jest już po 22-ej i te bliższe stacje już są nieczynne. Po powrocie po małym szczeniaku czegoś dobrego i spać.

SOBOTA 09.08.2014 r. dz.35 PUŁAWY port

Jakiś ruch na tratwie jakiś ruch rozpoczyna się około 7-ej. O 9-ej jesteśmy gotowi do wyjścia na miasto. Idziemy zwiedzać kompleks pałacowo-ogrodowy, dawną siedzibę CZARTORYSKICH. Wracając robimy niezbędne zakupy. 10.55 odbijamy. Pogoda super, ciepło, słoneczko, bezwietrznie. Za sterem STASIU. Reszta załogi zajmuje się sprawami organizacyjnymi. JAŚ przywiózł lornetkę –możemy prowadzić głębsze (dalsze) rozpoznanie trasy przed nami. Woda przybiera dość szybko /jak na Wisłę/, z wędkowania rezygnują nawet miejscowi twierdząc, że teraz na to szkoda czasu (widocznie wiedzą co mówią). Płyniemy. Na wysokości miejscowości GOŁĄB zatrzymujemy się. Po drodze założyliśmy banery, które pozrywane w jakimś kataklizmie czekały na lepsze czasy. Zakładamy też trap, żeby można wygodnie wyjść na ląd. Teraz można zamknąć budę i iść (jechać).Odwiedzamy sklep,bo jest bardzo gorąco, a następnie muzeum NIETYPOWYCH ROWERÓW. Rowery nas zatrzymują do późnego popołudnia, oglądamy również kolekcję butelek do mocniejszych trunków z całego świata. Wracamy na „Myrdyrdę” (ja rowerkiem) gdy już nie ma takiej spiekoty. Ruszamy dalej w dół rzeki. Tym razem za sterem zasiada JAŚ. Idzie mu zupełnie dobrze, więc możemy oddać się lenistwu i pogawędkom. Cumujemy za mostem kolejowym w Dęblinie, właściwie na terenie twierdzy. Woda wciąż przybiera. Przygotowujemy grilla. W trakcie ucztu pożegnalnej załogi (jutro schodzą z pokładu) podjeżdża wojskowy samochód i zostajemy poinformowani, że jest to teren wojskowy i musimy go opuścić. Negocjujemy możliwość pozostania do rana, gdyż w nocy nie jest bezpiecznie szukać nowego miejsca do cumowania. Otrzymujemy zgodę i dalej już spokojnie spędzamy miłą wieczór przy „morskich opowieściach”...

NIEDZIELA 10.08.2014. Dz 36. DĘBLIN

Zgodnie z umową po śniadaniu przestawiamy tratwę za drugi most/zresztą po ponownej i bardzo grzecznej wizycie służby wartowniczej, (w zamian wręczamy im nasze materiały reklamowe), niemielśmy innego wyjścia. Facetom (była także kobieta – a jakże!) bardzo podoba się nasza wyprawa i chętnie dołączyliby się do spływu. STASIU i JAŚ przygotowują się do wyokrętowania. JAŚ poszedł po samochód pozostawiony w centrum Dębłina. Stasiu pakuje swoje manatki. Wracą JAŚ, jedziemy zwiedzić muzeum lotnictwa. W drodze powrotnej obiadek i zakupy – prowiant i paliwo. Żegnamy naszych załogantów, oni nie mają tyle czasu, muszą wracać – my na tratwę. Przeczekujemy jednak ten największy skwar, żar leje się z nieba, jest ponad 31 stopni C. Wyruszymy, gdy tylko trochę odsapniemy. 16.30 odbój od nadbrzeża przy Domie Kultury w Dęblinie. Płyniemy do późnego zmierzchu. Na wysokości Kozienic wpadamy w labirynt wysepek, dobrze że jest wysoka woda, to daje nam pewną bezkarność, wszędzie udaje nam się przejść. Na nocleg dobijamy do 'Koziej Wyspy' na wysokości Paprotni k/Kozienic, niektórzy nazywają to miejsce PASTWISKIEM. Kolacja – niestety musimy ją przyrządzić sami (choć wysiłku zaoszczędzają nam koledzy ponieważ pozostało sporo produktów grilla). Piękna noc, pełnia księżyca, a sceneria wyspy uroczą, czujemy się jak w krainie baśni. Na chwilę odwiedza nas opiekun miejscowych kóz z małżonką.

PONIEDZIAŁEK 11.08.2014 r. Kozia Wyspa (PASTWISKO) na wysokości PAPROTNi k/Kozienic

Budzimy się skoro świt, ale robimy tylko fotkę i idziemy ponownie spać. Rozpoczynamy dopiero o 6.00, a gotowi do odboju jesteśmy o 8-ej. Wyruszamy o 8.30. Dzisiaj wcześnie ale zapowiada się upalny dzień. Postanowiliśmy, że dzisiaj podgonimy trochę drogi. Mamy spore opóźnienie według pierwotnego harmonogramu. Pogoda nadal bardzo ładna, najważniejsze, że nie ma wiatru, to bardzo nam pomaga. Płyniemy bez większego stresu, kluczymy wśród rozlicznych wysepek i spodziewanych mielizn. Wiemy, że woda jest wysoka i sporo potencjalnych przeszkód teraz pokonujemy bezproblemowo. Z lenistwa wymyśliłyśmy nowy sposób kierowania naszą „Myrdyrdą”. Traktujemy ją jak bryczkę i dorabiamy 'lejce'. Teraz możemy prowadzić tratwę prawie na leżąco. Napotykamy miejsca gdzie mamy kłopoty z rozpoznaniem prawidłowego szlaku wśród tych szeregu wysepek i wypłać. Czasem prawidłowa decyzja podejmowana jest w ostatniej chwili, uwzględniając sporą bezwładność naszej kropy. Potrafimy już w miarę czytać rzekę, co bardzo nam pomaga, są jednak momenty kiedy i my mamy wątpliwości. Przydaje się bardzo lornetka przywieziona przez JASIA. W sumie pokonujemy spory dystans, około 50 km i byłby jeszcze lepszy wynik gdyby nie goniąca nas burza, która dopada nas przy samym miejscu „desantowym” w miejscowości OSTRÓWEK (na wysokości CZERSKA). W trakcie płynięcia (między innymi z powodu naszego wynalazku) mogliśmy spokojnie wykonać czynność polegającą na moczeniu w odpowiednim roztworze naszych znoszonych ciuchów, a następnie poddanie ich wielokrotnemu płukaniu w mętnej, niestety, wodzie Wisły. Niestety, tak zwana czynność prania nie została zakończona sukcesem z uwagi na brak możliwości wysuszenia tak pracowicie wymiętolonych części naszej garderoby. Czekamy na jutrzejszy (mamy nadzieję), pogodny dzień. Na obiadokolację sporządzamy klopsiki ze szkiełka. Stefan wraca do swoich ciężko wypracowanych nawyków, cumy rzucone, plecak założony... Przynosi także kawę. Nie zdążył przed deszczem. Zmókł. Teraz się deszcz, burza przeszła gdzieś bokiem. Ponownie jesteśmy we dwójkę a spraw do załatwienia sporo..Pracujemy, poświęcamy się pracy medialnej.

WTOREK 12.08.2014 r. Dz.38

OSTROWIK na wysokości CZERSKA

O przyzwoitej godzinie idę do sklepu po świeże pieczywo i uzupełniające zakupy (nie kupujemy wiele na zapas – stąd te częste wizyty w sklepach). Gdy wracam KAPITAN jest już na nogach, pije pierwszą kawę. Uzupełniam paliwo. 9.10 ruszamy w kierunku Góry Kalwarii. Od wczoraj obserwujemy wzbijające się w niebo statki powietrzne startujące z OKĘCIA. Dziś są widoczne również te podchodzące do lądowania. Dogania nas ciemna chmura, zaczyna się siąpić, choć według prognozy w tym rejonie miało dziś nie padać- tak mówiła pani w sklepie. Zakładamy kurtki – pierwszy raz w trakcie rejsu. Płyniemy, mijamy dwa mosty na wysokości Góry Kalwarii. Dwa- trzy kilometry przed KARCZEWEM podpływa do nas motorówka. Stróże prawa sprawdzają kto zacz płynie tym dziwadłem. Jakiś czas płyniemy razem opowiadając o naszych przygodach. Rozstajemy się poniżej promu w KARCZEWIE. Otrzymujemy jednak bardzo ważną dla nas informację o miejscu gdzie ewentualnie moglibyśmy bezstresowo zacumować w WARSZAWIE. W KARCZEWIE dziś bardzo ważna dla mieszkańców uroczystość, nastąpi uroczyste otwarcie PROMU łączącego dwa brzegi Wisły. O godzinie 14.00 odbędzie się uroczysta gala, widzimy na podjeździe przygotowane akcesoria i wszystko co jest potrzebne na taką okazję. Spotykamy też od jakiegoś czasu kajaki płynące w zasięgu naszego wzroku. Gdy spotykamy się burta w burtę wręczamy im nasze materiały reklamowe. Jesteśmy już w strefie wpływów WARSZAWY. 12.30 wychodzimy z kolejnego zakola, na horyzoncie ukazują się trzy wysokie kominy (nie wiem dlaczego, ale taki widok nasuwa mi niezbyt przyjemne skojarzenia – pewnie czeka się jeszcze STALOWA WOLA). Dalej we mgle rozpoznaję iglicę PAŁACU KULTURY. Powoli, sukcesywnie, jednak nie bez problemów, zbliżamy się do stolicy. Mamy po drodze dwukrotną łamigłówkę w jaki sposób pokonać labirynt mielizn, naniesionych lub powalonych drzew i krzaków. Czasem drogę wskazuje nam kajak, który spotykamy po drodze, lecz oni mają większą szansę przeciskania się na skrót, my nie wszędzie możemy sobie na to pozwolić. W sumie do WARSZAWY docieramy o przyzwoitej porze.(16.30) Wpływamy do PORTU PRASKIEGO, który w chwili obecnej służy warszawskim policyjnym wodniakom. Otrzymujemy zgodę na cumowanie i pozostanie w porcie na noc. Jest to dla nas bardzo istotne, gdyż jest to bardzo dogodne dla nas miejsce. Ogarniamy się i wychodzimy do miasta. STEFAN oczywiście pierwszy, ja troszkę później. Po udzielonej telefonicznie instrukcji spotykamy się w końcu przy pomniku „Orkiestry z Czerniakowskiej”, idziemy na obiad do koleżanki Stefana – ANI. Na tą okazję przygotowała smaczną pieczeń. Tu mamy także okazję skorzystać z wszelkich dobrodziejstw cywilizacji, za co jesteśmy JEJ niezmiernie wdzięczni. Czas umyka nam niepostrzeżenie i na tratwę wracamy późnym wieczorem. Właściwie Ja wracam, bo Stefan został przejęty przez znajomego i tej nocy nie nocował na tratwie.

ŚRODA 13.08.2014 r. Dz.39. WARSZAWA PORT PRASKI

Budzą mnie odgłosy wielkiego miasta wymieszane z kwakaniem dzikich kaczek i pluskiem wyrzucających się na powierzchnię ryb. Dziwne zestawienie. Po godzinie 8.00 gdy kończy się odprawa funkcjonariuszy idę z wizytą do KOMENDANTA PORTU PRASKIEGO podziękować za udzielone pozwolenie cumowania i pozostania w porcie na noc. W trakcie rozmowy uzyskuję zgodę na dalszy pobyt (chcemy odwiedzić starówkę i jeśli się uda „Centrum Nauki Kopernik”) a ponadto daleko idącą pomoc w niezbędnym „tratwowym” zakresie. Bardzo nam to ułatwia

egzystencję w stolicy i pozwala na zwiedzenie choć kawałka Warszawy. Z rana odwiedza nas HANIA, pełne poświęcenie, zabiera nam rzeczy doprania – jak my się jej odwzajemnimy?... Idziemy zwiedzać starówkę –i na tym praktycznie mija nam dzień. Po 16 –ej ponownie spotykamy się z HANIĄ, tym razem na obiedzie w restauracji „Kampania Piwna” na Starym Mieście. Ledwo dajemy radę serwowanym porcjom. Stefan po zapoznaniu się z kolejnym opasłym punktem regulaminu, niestety nie dał rady. Wracając obserwujemy uroczystości związane z tragicznym incydentem z czasów Powstania Warszawskiego kiedy to doszło do wybuchu zdobytego na Niemcach transportera opancerzonego, dokładnie w dniu 13 sierpnia w godzinach popołudniowych. W nocy ulewa – nabrałem sporo „wody gospodarczej”, choć w sytuacji gdy jesteśmy tu w porcie nie jest ona nam potrzebna. Możemy jutro startować dalej – tylko coś mi się wydaje, że zmienia się już pogoda – niestety dla nas na gorszą.

CZWARTEK 14.08.2014 r. Dz.40 WARSZAWA PORT PRASKI

Budzi mnie silny wiatr i kołysanie łajbą. Mieliliśmy rano wypłynąć ale wahamy się, gdyż na ten nasz mały silniczek to zbyt duże wyzwanie. Przeskoki z jednej strony Wisły na drugą przed groblami, wypłaceniami przy naszej ‘powierzchni żagla’, wypłynięcie wydaje się niezbyt rozsądne. Prognozy mówią o stopniowym wyciszeniu wiatru – decydujemy trochę poczekać. Rano odkryłem, że chyba mamy pasażera na gapę. Od kilku dni ktoś podgryza nam pieczywo w charakterystyczny sposób, byłem przekonany, że to STEFAN, gdy jest po trzeciej KAWIE wyskubuje sobie kęski na „rozruszanie żołądka”. Zagadnięty, przysięgał na wszystkie świętości, że to nie jego sprawka. Dalsze uważne obserwacje i wsłuchiwanie się w „podwodne” życie tratwy przekonały mnie, że jednak to nie STEFAN a jakieś inne żyjątko dożywia się naszym pieczywem. Nie jesteśmy jeszcze zgodni co do jestestwa tego zwierzątka, bo nikt go jeszcze nie widział – co najwyżej słyszał gdzieś w zakamarkach naszej budowli. Zdania są podzielone. Obserwujemy dalej ... Około 11-ej odwiedza nas KOMENDANT PORTU PRASKIEGO mł. insp. MAREK GAGO. W rzeczowej, miłej rozmowie między innymi przekazuje nam parametry żeglugowe i zapoznaje nas z czekającymi przeszkodami na najbliższej trasie. Zapoznając się z możliwościami naszego napędu odradza dzisiejsze pływanie, sugerując przeczekanie w porcie czas niesprzyjającej nam aury. Sugestię przyjmujemy właściwie z ulgą, potwierdza nasze pierwotne odczucia. Podejmujemy decyzję, że spędzimy jednak jeszcze jeden dzień w porcie i wypłyniemy jutro z rana. Nadal wieje i co chwilę pada. Pracujemy medialnie. Około południa odwiedza naszą „Myrdyrdę” kolega Stefana Janek z dziećmi. Po odwiedzinach wychodzimy „na miasto”, tym razem naszym głównym celem jest odwiedzenie „Centrum Nauki Kopernik”. Niestety budynek jest „przepełniony” i nie mamy szans na uzyskanie biletów. Zwiedzamy więc inne obiekty. Bardzo nam się spodobała Biblioteka Uniwersytecka, a właściwie jej ogrody i tarasy widokowe. Odwiedzamy też nasz STADION NARODOWY. Późnym popołudniem ponownie lądujemy u HANI na wieczorku pożegnalnym. Gdyby nie ten parszywy silny wiatr płynęłaby z nami do Nowego Dworu Mazowieckiego. Bardzo żałowała... Wieczorem wiatr uspokoił się – mimo, że wiemy o jutrzejszej defiladzie – musimy jednak płynąć- też żałujemy...

PIĄTEK 15.08.2014 Dz.41 start WARSZAWA PORT PRASKI

Ze snu wrywa nas MICHAŁ. Zjawia się przed tratwą, gdy my jeszcze smacznie śpimy (choć byliśmy bliscy wybudzenia). Przyjmujemy nowego załoganta. Po odprawie funkcjonariuszy w rzeczonym Porcie Praskim idziemy pożegnać się z komendantem i aktualnie pełniącymi służbę funkcjonariuszami. Dziękujemy za udostępnienie miejsca cumowania, udzieloną pomoc i wsparcie. Krótka kawa pożegnalna u komendanta i o 9.00 ruszamy, wyprowadzeni z portu i pobliskie zasadzki Wisły przez asystę w postaci motorówki-pilota. Na pobliskiej ostrodze żegna nas JANEK, a na moście z białą chusteczką ocierając łzy HANECZKA /nadal niepokieszona, że nie udało się jej stanąć za sterem Myrdyrdy. Niestety dziś ma już inne poważniejsze zobowiązania,, których musi dotrzymać. MICHAŁ zostaje rzucony na „głęboką wodę” –podwóch słowach instruktazu siada za sterem i uroczyście / asyście/ wyprowadza Myrdyrdę z portu na szerokie wody naszej królowej rzek. Wreszcie płyniemy. Dzień zapowiada się pogodny – a najważniejsze, że wczorajsze dzikie porywy wiatru zamieniły się łagodne podmuchy. Płyniemy. Za sterem nadal MICHAŁ, radzi sobie znakomicie. Rusza się umiarkowany wiatr w nos, spowalnia to naszą średnią. No cóż, nie zawsze wiatr w plecy. Za m. Kamionki w okolicy Jabłonnej w labiryncie wysepek przedzieramy się przez mielizny. Z grubsza się nam udaje, choć są momenty, że chwytamy za puchy i wiosła. O 15-ej przechodzimy obok twierdzy MODLIN. Obserwujemy idące w niebo samoloty z miejscowego lotniska. Narew już zasila swoimi zasobami nurt Wisły. MICHAŁ dzielnie prowadzi Myrdyrdę dalej w dół rzeki. Wiatr nadal umiarkowany, ale już raczej boczny. Płyniemy prawie do zmroku. Dzisiaj bijemy rekord odległości- pokonujemy ponad 63 km rzeki. Na noc cumujemy w CZERWIŃSKU nad Wisłą. Do WYSZOGRODU nie dajemy rady już dociągnąć. Kolacyjka, pogawędki i spanko. Miejsce do cumowania niezbyt wygodne, trap kiwa się trochę, co staje się pewnym kłopotem dla MICHAŁA.....

SOBOTA 16.08.2014 r Dz. Dz.42 CZERWIŃSK n Wisłą

Budzi nas mężczyzna idący na tratwie w kierunku rowerów. Michał reaguje natychmiast wyskakując z koi. Okazuje się jednak, że zajęliśmy miejsce wędkarza, który rzucając spinning zahaczył go o nasze rowery i chciał go sobie po cichutku, aby nas nie budzić, wycześcić. Udostępniamy mu tratwę do dalszego połowu, ale po pewnym czasie stwierdza, że dziś ryby nie biorą i rezygnuje. Po śniadanku, które pięknie przygotował MICHAŁ, idziemy zwiedzać CZERWIŃSK. Bardzo dobrze się stało, że nie zdecydowaliśmy się popłynąć bezpośrednio po śniadaniu. Warto było wyjść do tego miasteczka, ma bardzo charakterystyczny swój klimat, no i miejsce w końcu historyczne. Po zwiedzeniu świątyni (aktualnie siedziba oo Salezjanów) wracamy na Myrdyrdę i podnosimy cumę. 9.30 Michał siada za sterem. Na horyzoncie ciężkie ołowiane chmury. Idziemy pod wiatr (chwilowo niezbyt silny) . Liczymy się z tym, że popada i w końcu tak się dzieje. Kapitan przejmuje ster od Michała. Moknie choć ma przeciwdeszczową kurtkę. Uzgadniamy, że z uwagi na możliwości komunikacyjne zmodernizowanych planów Michała dociągniemy do WYSZOGRODU, stąd są już przyzwoite połączenia z Warszawą. W czasie gdy Kapitan moknie, ja uzupełniam zaległości medialne rozpoczęte jeszcze „za pogody”. Kończę do czasu gdy dochodzimy w pobliże przystani. Cumujemy w deszczu wśród wędkarzy rozlokowanych na Wyszogrodzkim nadbrzeżu. Nikt nie protestuje (choć może entuzjazmu nie ma) – pomagają nam przycumować, wskazują najlepsze miejsce postoju. Pada. Przerwa na kawę, herbatę, pogaduszki. Michał idzie do miasta zorientować się w możliwościach transportowych. Natomiast ja udaję się do najbliższego CPN-u w celu uzupełnienia zapasów

paliwa. Obracam dwa razy. Kapitan się suszy. (i strasznie marudzi co to się nie stało, bo trochę mu spodnie zamokły). Michał miał dokonać również zakupu jakiegoś obuwia, aby zastąpić nim swoje przypadkowo przemoczone buty. Na tratwę schodzimy się prawie jednocześnie. 13.30 zrobiło się ciepło, nawet gorąco, Michał już prawie gotowy, na horyzoncie pojawiają się jednak ponownie czarne chmury. Czekamy co z tego wyniknie. Michał "łapie okazję" na dworzec - bardzo dobrze, bo za chwilę zaczyna się ulewa. 14.00 zostajemy w porcie. KAPITAN usilnie goni wenę twórczą i wodzi zamyślnym wzrokiem po powale przyczepy, ja przytulam się do koi. Deszcz miarowo tłucze o uchylone szyby naszego domku, lekko kołysze się pokład..Odpytam w szarość dzisiejszego dnia.... Budzi mnie cisza –przestało padać. 15.00 wędkarzy nie ubywa, a wręcz odwrotnie- uparty i twardy to naród.... Jedni odjeżdżają inni wodują swoje łodzie, pontony, motorówki, mają tu bardzo ku temu dogodne miejsce. Ponownie się siapii , tak z przerwami do wieczora. W prześwytach jaśniejszego nieba udajemy się do miasta i sklepu. Zwiedzamy miejscowy klasztor i miejsce pamięci bitwy nad Bzurą (niedaleko wpływa do Wisły). Już wiemy, że dzisiaj już nie wypłyniemy, idziemy do pobliskiego baru na naleśniki. Sennie ciągnie się czas do wieczora. Nic ciekawego się już chyba dzisiaj nie wydarzy.

NIEDZIELA 17.08.2014 Dz. 43 WYSZOGRÓD

Noc niespokojna i wietrzna. Jakiś zwierzak penetrował nasz pokład. Wstajemy wcześniej, około 6- ej, ale już widać, że i dzisiaj będzie wiało, tyle, że nie pada. Pijemy coś ciepłego i decydujemy, że jednak spróbujemy płynąć. 7.00 wyruszamy, prosto na wiatr. Nieprzyjemny – jest szansa, że się wypogodzi, za nami słońeczko, przed nami ciemne chmury. Niestety słońeczka coraz mniej i częściej przysłaniane. Chłodno. Wieje coraz silniej. Na większych rozszerzeniach spora fala. Często mamy złudzenie (?) że stoimy w miejscu. Między wysepkami, w kręcących się w każdą stronę wirach mamy bardzo ograniczoną sterowność, sytuacja pogarsza się gdy do tego nadchodzi jakiś szkwał.Mimo wszystko płyniemy, poubierani już w to co mamy najcieplejszego. W trakcie płynięcia Stefan idzie do kajuty i sporządza gorący kubek zupy z papierka, ja stoję za sterem (mam kalosze, może mi pryskać !). Krótko przed 11-ą gdy wyłaniamy się zza kolejnej wysepki widzimy przed sobą ścianę mgły, lub zasłonę deszczu – jak kto woli, mknącą w naszym kierunku. Decyzja – cumujemy. (Stefan po wczorajszym doświadczeniu stał się bardzo ostrożny co do nadchodzących chmur zwiastujących jakiegokolwiek opady). Pierwsze wytypowane miejsce –„ kucha”, dopiero po drugiej stronie następna wysepka okazuje się bardziej przyjazna, jeśli chodzi o stan brzegu. Dobijamy, wiatr, dociska nas do brzegu. Kawa, gorąca herbata, jakaś przekąska (dla mnie właściwie drugie śniadanie). Z dużej chmury mały de3szcz, u nas zaledwie lekko pokropiło, wiatr zabrał to nadchodzące paskudztwo gdzieś za Wisłę. Generalnie jednak chmury zeszły niżej, są ciemniejsze i przelotnie pada. Nadal jest chłodno. Wiatr (tutaj w małej zatoczce wysepki wydaje się, że zelżał). Odczekujemy jeszcze dłuższą chwilę i decydujemy ruszać. Nie mamy dziś nastroju pozostawać na bezludziu i to w taką pogodę. Droga do Puław już zaczyna nam się dłużyć, jeszcze nigdy nie doznaliśmy na trasie takiego odczucia. Gonią nas ciemne burzowe chmury, raz z tyłu, raz z boku, to znowu atakują nas z przodu, zależy jak zakręci rzeka, lub zza której wysepki się wysuniemy. Często wymykamy się spod ulewy, choć to oczywiste, że gdzieś obok nas pada. Jak zwykle musimy kluczyć, między wysepkami, mieliznami, powalonymi konarami, ale to już normalka. Inaczej się tu nie pływa. Do PŁOČAK dochodzimy jednak o przyzwoitej godzinie. Oporządzamy tratwę i wychodzimy do miasta. Z grubsza wiemy jak zorganizować zwiedzanie, poinformował nas o tym prezes Klubu Turystyki Kolarskiej przy O/Z PTTK ORLEN S.A. Zaczynamy więc od pomnika bitwy nad BZURĄ, kościoła MARIAWITÓW, a następnie wracamy w kierunku

Starego Miasta zaliczając wszystko po drodze. Starówka, bulwar, molo, amfiteatr, w ogóle cały ten kompleks jest przemyślaną konstrukcją do spacerów i wypoczynku. Również dla turysty. Podoba nam się. Uderza duża ilość ogródków, punktów gastronomicznych ... Z ciekawostek – w trakcie zwiedzania katedry Stefan tak się zamyślił nad sobą i swoim losem, że musiałem interweniować u „siostry klucznicy” aby wypuściła Go ze świątyni. Miał szansę nocować tam razem z prochami królów i odpokutować za wszystkie dotychczasowe i nawet przyszłe swoje grzeszki. Miasto zwiedzamy do zmierzchu.. Myrdyrda czeka na nas w zatoczce przy bulwarze spacerowym podziwiana przez przygodnych spacerowiczów. Woda w Wiśle opada, zaznaczyłem patyczek gdy wychodziliśmy. Musimy zachować środki ostrożności, by jutro nie obudzić się ze zdziwieniem na plaży...(gdy Włocławek dojdzie do wniosku, że ma zwiększone zapotrzebowanie na moc). Wieczorna iluminacja tego miejsca – Starego miasta, molo i mostu przepięknie skomponowana, można podziwiać godzinami. Idę spać. Budzi mnie przepiękna iluminacja z fajerwerków obejmująca kompleks mostowy. Jest 24.00. Coś pięknego, tego się nie da opisać, to trzeba było zobaczyć. W tle słyszymy słowa naszego Hymnu Narodowego, powoli wszystko jednak wycisza się i ponownie kładę się spać.

PONIEDZIAŁEK 18.08.2014. Dz.44 PŁOCK

Budzi mnie pasażer na gapę, nieźle sobie poczyną. Jak tak dalej pójdzie nie wiem czy starczy nam domku do końca rejsu. 6.00 wstajemy i czynimy przygotowania do odboju. Pochmurny, chłodny, i jak dotąd lekko wietrzny dzień. Wiem, że wiatr będzie się rozwiewał. 6.50 wszystko przygotowane do podnoszenia cum. 7.00 odbijamy. Chmury powoli ustępują, mamy słaby boczny wiatr, narastający z czasem płynięcia. Około 10-ej jest już silny, chodzą szkwały, zaczyna bujać tratwę. Idziemy pod lewy brzeg, cały czas ukosujemy – prędkość minimalna. Nie ma już praktycznie nurtu (przynajmniej go nie widzimy ani nie wyczuwamy), fala i wiatr nam nie pomagają. Wszystko to rekompensują nam przepiękne widoki, szczególnie prawego brzegu Wisły. Nie możemy się napatrzyć i nic to, że wieje. Mijamy kilka „marin” po prawej, ale tylko jedną po lewej. Około godziny 12-ej zbliżamy się do połowy zaplanowanej trasy. Wiemy, że dziś tak łatwo nie będzie, choć właściwie nie ma żadnych przeszkód, jednak te które spowodowane są tak silnym wiatrem są wystarczające. Podjadamy po drodze. Zależy nam aby dziś dotrzeć i zobaczyć –ocenić co czeka nas we WŁOCŁAWKU. W okolicy Nowej Wsi i Skoków Dużych zauważamy maleńki porcik i parasole, jest tam z pewnością knajpka. Wiatr wzmaga się, decyzja kapitana- wchodzimy do portu. Tu odpoczywamy – zamierzamy przeczekać najgorsze godziny i popłynąć dalej. Szkwały są bardzo silne, nie ma sensu męczyć siebie i nasz mały silniczek, dzisiaj z pewnością by sobie nie poradził. Czekamy. Stefan , jak zwykle, grzebie w swoim laptopie i narzeka, ja robię porządek na mojej koi w wersji dziennej i odpuszczam sobie wszystko inne . Zapada decyzja, że tutaj nocujemy. Zbyt silny przeciwny wiatr na dalsze płynięcie. . Po mojej wyprawie pieszo-rowerowej w poszukiwaniu sklepu do m. Dąb Polski wracam z dostępnymi tu wiktuałami i bierzemy się za prace medialne. Przygotowaliśmy pliki i mamy właśnie wychodzić do pobliskiego „Zajazdu Pod Żaglami” gdy jakaś liczna wycieczka schodzi po schodach w naszym kierunku. Przez myśl przebiega mi obrazek kolejnego tłumaczenia tajników budowy Myrdyrda, opisu trasy, ważniejszych zdarzeń, celu wyprawy etc. etc. Stefan też na to wszystko patrzy z

rezygnacją i zaczyna czochrać po kieszeniach za wizytówkami- tym razem nie zdążył się wyrwać do stolika. Aż tu nagle – jeszcze z dość daleka słysząc „ Dzień Dobry Panie Inżynieru” . – to Jasio (mój wnuczek) z daleka rozpoznał Stefana i wykrzykuje swoje ulubione pozdrowienie. Patrząc zdumiony i nie wierząc własnym oczom, to prawie cała MOJA rodzina podąża pomostem w kierunku na tratwę, łącznie z najmłodszym wnuczkiem, który urodził się już w trakcie trwania rejsu. Mam okazję go zobaczyć i potrzymać na rękach. Jest i wnuczka Kalinka niewiele starsza od Igorka, Jasio, wiadomo, stary bywalec na tratwie od czasu jej modernizacji w suchym doku nie podarowałby sobie gdyby nie wziął udziału w tych odwiedzinach. Grażynka, Ewa, Marysia, Jakub, Marcin kroczą dumnie po chybottliwym pomoście z czymś takim kolorowym na tacy. Już wiem czemu zawdzięczam y tą wizytę. Jutro obchodzę kolejne urodziny (nie ważne które) i stąd ta wycieczka. Wizyta nie trwa długo, wiadomo, maluchy nie mogą trwać zbyt długo w takich warunkach poza domem. Igorek zalicza przebieranko na koi, jak dotąd jest najmłodszym, który postawił swoje stopy (no może pośladki) na Myrdyrdzie i nie wiem czy rekord ten szybko zostanie pobity. Rozkrajamy tort- jest on oczywiście repliką naszej tratwy – jest wspaniały. Wizyta, wizyta i po wizycie czas wracać, tylko Jasiowi jakoś niesporo do wyjazdu. Najchętniej pozostałby na tratwie z dziadkiem i „Panem Inżynieru”. Pozostałe maluchy jeszcze nie wiedzą z jakiej okazji dziś pójdą później spać.... Odjeżdżają – a ja ponownie mam ciepłe rzeczy, które odesłałem po sugestii Stefana, że zbyt obciążam tratwę... Idzie potężna burza, w ośrodku gaśnie światło, agregat pracuje do rana, przeszkadza zasnąć i wcześniej budzi.

WTOREK 19.08.2014 r. Dz. 45 Przystań jachtowa przy „Zajeździe pod Żaglami” pomiędzy Nową Wsią a Skokami Dużymi

Wstajemy przed wschodem naszej gwiazdy. Mamy okazję (po raz pierwszy na rejsie) zrobić fotki wschodzącego (nie mylić z zachodzącym) słońca. Grzebiemy się jednak trochę, sprawdzamy silnik i dopiero o 6.00 wypływamy. Wieje już lekki wiaterek. Idziemy lewym brzegiem, tym płytszym. Prędkość do 2,8- 3 km/godz. Wiatr czołowy. Około 10-ej jesteśmy na wysokości DOBIEGNIĘWA. W oddali widnieją główki wejścia do portu. Samo wejście nie jest jednak wcale tak łatwe, musimy przedzierać się przez pola zarośnięte podwodnymi uprawami jakiejś sałaty, kalafiora i innej bliżej nie znanej nam włoszczyzny. Grozi nam ugrzęźnięcie w tej zielonej pułapce. Silniczek dławi się i pryca, spod śruby wylatuje sieczka zielonego paskudztwa, z ledwością posuwamy się do przodu. Wiołem odgarniam i odczepiam chwytające nas macki zieleniny. Do portu wdzieramy się przez, jak się nam wydaje , wytyczony niebieskimi bojkami szlak. Ciaśniutko, nie ma swobody ruchu dla naszej jednostki, mamy kłopoty z zacumowaniem. Tu też są powiewy, a nie możemy przecież „ocierać „ się o pięknie wylakierowane jachciki. W końcu jakoś przycupnęliśmy. Czekamy na dziewczyny, Stefan ma swoje sprawy do załatwienia. Na chwilę podjadą nasze żony – przy okazji przywiozą nam jakieś uzupełniające zaopatrzenie, kanister paliwa, etc. 11.00 nadal w porcie w Dobiegniewie czekamy na kobiety. Za chwilę są – pijemy kawę, załatwiamy co jest do załatwienia i „rozjeżdżamy się” każdy w swoją stronę. Wyjście z portu ponownie fatalne. Pełno wodorostów, nasz uprzednio przetarty szlak zdążył pokryć się nową plantacją. Wodorosty działają jak spadochron. Nadal produkujemy makaron, krótkie rurki. Po wyjściu ze strefy ochronnej wysokich drzew uderza w nas silniejszy powiew wiatru. Znosi nas w kierunku drugiego brzegu. Właściwie nie posuwamy się do przodu lecz trawersujemy, z tym, że interesujący nas ruch postępowy jest mniejszy. Fala czołowa zalewa nam oba pokłady, Stefan po

chwili ma już mokre buty, staję więc za sterem bo mam kalosze. Kolega TOMEK poznany w marinie Dobiegniewa podpowiedział nam jak poruszać się przy wyjściu z portu i którądy iść, ale nie mogliśmy tego do końca zrealizować z uwagi na silny wiatr. Asystuje nam więc przez dość długi czas aby służyć pomocą w „przypadku „ Gdy jakoś ustawiamy się i walczymy już z wiatrem i falą na „właściwym” kursie, po kilkunastu okrążeniach TOMEK (zostawiając swój numer telefonu gdybyśmy byli w potrzebie) odpływa . (Spotkamy się jeszcze pod koniec dnia gdy szczęśliwie będziemy dochodzić do portu we Włocławku). Dziękujemy CI TOMKU ! Całą drogą do Włocławka (a mamy postanowienie zrobić ją dzisiaj) to walka z przeciwnym wiatrem i czołową falą. Nad nami ciemna chmura, która upodobała sobie zatrzymać się nad nami . Wszędzie obok widać prześwitujące słońeczko, ale nie nad Myrdyrdą. Co my kawałeczek do przodu, to chmura też, chmurzysko wyraźnie podąża za nami i przygląda się bezczelnie jak sobie poczynamy. Nie chce odpłynąć za wzgórze. Trudy dzisiejszego rejsu rekompensują nam przepiękne widoki prawego brzegu jeziora (choć to przecie nadal Wisła). Praktycznie przez cały dzień i to w zwolnionym tempie, mamy okazję podziwiać malownicze urwiska, roślinność , cały pejzaż prawego brzegu. Późnym popołudniem porywy wiatru maleją, fala wypłaszcza się, przyspieszamy. Teraz jest odpowiedni moment na zmianę kierunku, podejmujemy przeprawę na drugi brzeg, na miejsce cumowania przy slipie. W efekcie końcowym cumujemy w Miejskim Ośrodku Sportu i Rekreacji we Włocławku. Warunki DOSKONAŁE. Meldujemy się w kapitanacie, gdzie uzyskujemy wszelkie niezbędne informacje i miejsce do spokojnego cumowania. Możemy korzystać z prądu, prysznica ,toalety..(oczywiście za odpowiednią opłatą). Jest OK., CPN bardzo blisko (przeprawa pod wiatr trochę obniżyła poziom paliwa w baku),idziemy uzupełnić część (z uwagi na wygodę robimy to na raty, gdy mamy perspektywę dłuższego pobytu). Po powrocie kolacja i plany na jutro. Jest jeszcze sto lat od KAPITANA dla mnie, jakiś drobny toast i spanko. Kapitan, jak zwykle ślęczy pochylony nad biurkiem do późnej nocy.

ŚRODA 20.08.2014 r. Dz. 46 WŁOCŁAWEK

Jak zwykle rano, gdy mamy prąd uzupełniamy zaległości komputerowe. Dzień wstaje pogodny ale wietrzny i wiele chłodniejszy. Dziś byłoby wiele trudniej i kierunek wiatru pchałby nas na mielizny z wodorostami na lewym brzegu. Jak dobrze, że udało się nam dopłynąć tu wczoraj. Od rana mamy telefon od ZBYSZKA wspomagający nas w zaplanowanych na dzisiaj działaniach logistycznych . Uzupełniamy pozostałe zaległości na komputerach – jak one szybko narastają – pożerają znaczną część naszego wolnego od płynięcia czasu. .. Wczesnym popołudniem przyjeżdża pan od lawety obejrzeć obiekt do przetransportowania. Stefan pojechał z nim oglądać miejsce ewentualnego slipowania po drugiej stronie tamy. Po powrocie zdaje relację według której wszystko powinno być OK. W tym czasie robię małą przepierkę i z grubsza ogarniam tratwę / nie rozumiem dlaczego na tak małej powierzchni ciągle coś jest do sprzątnięcia?, kto tu tak bałagani?/

W godzinach popołudniowych jesteśmy umówieni na odwiedzinach BIETKI i ZBYSZKA. Oboje meldują się na Myrdyrdzie około 17-ej z prezentami. Jak na wilczków rzecznych jesteśmy troszkę zakłopotani, nie spodziewaliśmy się aż tak serdecznego powitania . Po zaprezentowaniu walorów naszej tratwy udajemy się na zwiedzanie miasta. ZBYSZEK wiezie nas swoim samochodem, a BIETKA pracuje za przewodnika wycieczki. Zaliczamy krótkie posiedzenie w przyjemnej knajpce

udajemy się na dalsze zwiedzanie. Tym razem udajemy się do KATEFRY – naprawdę wywiera na nas wrażenie. BIETKA przekazuje nam tyle wiedzy ile to możliwe w tak krótkim czasie, zwraca nam uwagę na najistotniejsze elementy. Wiemy, że czas nas bardzo ogranicza i przy najbliższej okazji będzie do czego powrócić. Spotykamy ciekawych ludzi – mamy dzisiaj szczęście. Zaglądamy też na nadwiślański bulwar, a późnym popołudniem – właściwie wieczorem, znów dzięki sprawności działania naszych kajakowych przyjaciół, udaje się nam dotrzeć do księdza STANISŁAWA MAZURSKIEGO, naszego katechety z lat szkolnych. Obiecaliśmy mu tę wizytę już Słupcy, przed naszym wyruszeniem na szlak przygody, gdy spotkaliśmy się na króciutko z innej (bardziej smutnej okazji). U księdza emeryta w Michalinie spędzamy przemiłą choć z wiadomych przyczyn krótki wieczór. Wracając przez bulwar podziwiamy pięknie oświetlony most i wieżę katedry. Na tratwie króciutkie pożegnanie i musimy się rozstać. Jutro każdy z nas ma inne swoje obowiązki...

CZWARTEK 21.08.2014 Dz.47 WŁOCŁAWEK

Po dobrze przespanej nocy przystępujemy do operacji przeprawy Myrdyrda na drugą stronę tamy. Pierwszy etap to zabezpieczenie rzeczy wewnątrz tratwy, następnie na pokładzie. Składanie skrzydełek tym razem poszło nam dość gładko. Odkrywamy dlaczego mieliśmy ostatnio trudności!! Sprawdziliśmy przezornie komory przelotowe usuwając z jednej z nich, tym razem, jakiś kanister. Zdemonstrowaliśmy butlę gazową, zmywarkę zewnętrzną, rowery, itd.. Po naszych czynnościach wstępnych poprosiliśmy pana z obsługi portu o uruchomienie wyciągarki. W sumie wszystko poszło sprawnie, jedynym kłopotem była „złapana guma” przy nakierowywaniu tratwy „na prostą”, aby łatwiej było ładować ją na lawetę. Zbyt szybko nastąpił skręt, /pan nie znał tajników konstrukcyjnych mocowań naszych przednich kółek, a my nie zdążyliśmy zareagować- i stąd ten defekt. Rozerwaliśmy „oponę” - rozerwała się lana guma okalająca pokiereszowaną na Sanie obręcz. Koła te osłabione od czasu kamienistego SANU, teraz przypomniały, że należało je naprawić o wiele wcześniej. Sorry – nie zrobiliśmy tego – no to mamy to co mamy. Od czego jednak nasza pomysłowość, zabawiliśmy się w krawca i zszyliśmy naszą oponę drutem, który znaleźliśmy w naszym magazynie od wszystkiego – skrzyni dziobowej. Po drobnych naprawach blacharskich (to co dało się naprawić) Myrdyrda stoi gotowa do załadunku. Cały okres napraw i później załadunku obserwują przychodzący na przystań wodniacy, spacerowicze i przygodni przechodnie pojawiający się na wałach. Czekamy na transport. Pan trochę się spóźnia, realizuje jakieś inne zlecenie. Przyjeżdża w końcu z drobnym opóźnieniem, ale za to jest to osoba bardzo kompetentna, dobrze zna swój fach i dlatego „sposobem” ładujemy naszą tratwę na samochód- pomoc drogową. Myrdyrda wyprężyła się w łuk, ciężko ciągnąc już za obrysem pojazdu swój długi odwłok. Jednak rozkład ciężaru spowodował, że wszystko się jakoś „kupy trzyma” i transport będzie możliwy. Odpowiednio zabezpieczona pasami, linami ruszamy. Prędkość podróżna podobna do tej na wodzie – dlatego decydujemy na włączenie i rejestrację tego odcinka jako trasy pokonywanej. Do slipu gdzie wodujemy dojeżdżamy szczęśliwie. Samo wodowanie to czynność załadunku tylko w odwrotnym porządku. Też musimy trochę pokombinować i popodkładać... Gapie... Przed wieczorem jesteśmy na wodzie po drugiej stronie tamy. Czujemy, że Myrdyrda o wiele lepiej czuje się na wodzie niż na zbyt krótkiej platformie. Rozkładanie, porządki, etc., etc.. Przed samym wieczorem wpływamy do dolnej mariny. Marina jest WSPANIAŁA. Ta w górnej części, przed tamą, wydawała się nam piękna – ale teraz gdy

ujrzeliśmy tą na dole, jesteśmy zdumieni. Wczoraj widzieliśmy, ją oświetloną jako obiekt , lecz dla nas abstrakcyjny, teraz dotykamy jej realnie i korzystamy z dobrodziejstw. Spotykamy się z ciepłym przyjęciem i daleko idącą serdecznością. Mamy wszystko czego nam trzeba i do tego spokój by odrobić dzisiejsze lekcje. Oby więcej takich obiektów i ludzi można było spotykać na trasie naszej wyprawy.

Brak dnia 22

SOBOTA 23.08.2014 r. Dz.49 TORUŃ

Jak zwykle od pewnego czasu, budzi mnie cichutkie chrupanie naszego (naszej) gapowicza. /Musimy już zastanowić się nad jego nazwaniem –skoro nie zszedł na ląd przy okazji przeprawy we WŁOCLAWKU . Pobudka dziś jednak jest o wiele później. Mamy zaplanowany dzień turystyczny,/ o ile Stefan nie zmieni planów, /mamy zobaczyć coś w TORUNIU. Stefan ma jednak poumawiane spotkania / szereg telefonów/, rodzina chce zobaczyć jego inżynierskie cudo, które zdołało dopłynąć tu aż z SANOKA. Z bulwaru słysząc spokojną melodię wygrywaną przez młodego mężczyznę na harmonijce ustnej... Jeszcze jest poranna cisza, melodia niesie się po delikatnych falach Wisły..Generalnie sporo jest tu młodzieży, przychodzą na spotkania, spacerują, piwo..Do Stefana kolejno schodzą się znajomi, oglądają i podziwiają tratwę. Nie gustuję specjalnie w mocniejszych i tych średnio mocnych trunkach, więc zostawiam ich na pogaduszkach . Idę na rynek, na zwiedzaniu schodzi mi do późnego popołudnia. Przypadkowo jestem świadkiem pięknego ślubu w kościele pod wezwaniem św. Katarzyny. W różnych miejscach coś się dzieje, można tu spędzić cały dzień nie nudząc się. W końcu wracam. Kapitan jest w pobliżu, odnajduję Go barce, jeszcze omawia ważne sprawy z Rodziną. Zgrywam dzisiejsze fotki i uzupełniam dziennik. Chcę aby jutro było wszystko „na czysto” . Wieczorem wychodzimy jeszcze raz, odprowadzić Marysię z koleżanką... Takie ciekawe miasto – zwłaszcza wieczorem...

NIEDZIELA 24.08.2014 Dz. 50 start TORUŃ

Przed godziną 6-ą pracuje już „Uchodźca” (ze Stalowej Woli) – to ten nasz pasażer na gapę. Bardzo dobrze się zadowił w tym naszym obozie przejściowym – trudno –wstajemy – daje się wytrzymać tylko do 6-ej. Woda znacznie opadła, dobrze, że wczoraj po powrocie z miasta (już w nocy) przestawiliśmy Myrdyrdę, rano z pewnością siedzielibyśmy na przybulwarowych kamieniach. Krótkie śniadanko i pierwsza kawa Kapitana. 7.30 żegnamy TORUŃ. Po drodze napotykamy się na jedną mieliznę, sygnalizują ją siedzące na niej mewy. W godzinę zawijamy do jakiejś zatoczki za ostrogą. Idziemy na „zwiady”. Okolica ładna i dzika, tylko ścieżki wydeptane przez wędkarzy. To nie to co na Sanie, same zarośla, chwasty i żadnych ścieżek... Z upływem czasu wzmacnia się wiatr, wokół nas ciemne chmury, ale my przez dłuższą chwilę mamy słońeczko. Nawijamy kontakt wizualny z HANIĄ, przez dłuższą chwilę płynie z nami wirtualnie, tylko kręcimy za Nią kołem sterowym. Ma pecha, ładujemy się na końcówkę łachy. Spychamy się z niej wiośłem i pychem , dalej płyniemy szlakiem, doszliśmy do wniosku, że woda opadła na tyle, iż nie bardzo już możemy sobie pozwolić aby lekceważyć profesjonalne oznakowanie szlaku. Na

końcówce podejścia do SOLCA KUJAWSKIEGO wieje już porządnie. Hania melduje, że w Warszawie pada, u nas trochę” świeci”. Najbardziej wieje gdy jesteśmy na wysokości STOLBETU. Dłuższa chwila i zawijamy do dobrze usytuowanej zatoczki, siedziby WOPR-u w Solcu Kujawskim. Ciemne chmury wokoło, u nas przetało się, czyste niebo. Wiatr nagle uspokaja się. Przyrządzamy jakąś przekąskę i coś na rozgrzewkę. (Przewiało nas trochę). Wreszcie gotuję ziemniaki, które płyną z nami od Wyszogrodu – jak to jest, że jesteśmy na „urlopie” a ciągle brakuje nam czasu???.. Teraz trzeba pomyśleć codo tych ziemniaków? Będą chyba śledziki też dłuższy czas pływające... Zaczyna ponownie padać deszcz. Najedliśmy się do syta. Sjeść. Wieje silny wiatr i leje – my stoimy bezpiecznie w zatoczce i polegujemy sobie. Budzi nas cisza i słońeczko, taka przerwa, luka pomiędzy następną falą chmur. Idziemy do miasta. Zwiedzamy SOLEC KUJAWSKI. W efekcie końcowym trafiamy do restauracji „Jaskinia”.(bardzo pasujemy swoim wyglądem do miejsca. W „Jaskini” dopada nas FRANEK trzymający śrubokręt /postać znana uważnym czytelnikom naszej lektury/. Regenerujemy się w tej „Jaskini”, każdy według własnych potrzeb, po czym rozstajemy się w zgodzie – tym razem- co jest znaczącym sukcesem w stosunkach Franka z „Inżynierem”. Franek kierunek swojego spływu, my na tratwę. W drodze powrotnej nadciąga kolejna chmura, zaczyna padać. Przy wyciąganiu kurtki z plecaka wypad mi komórka / zorientowałem się o tym dopiero po dłuższej chwili, gdy chciałem wykonać fotkę miejscowego kościółka. Wracam się szukać komórki, Stefan wraca na tratwę, po drodze dokonując jakiś zakupów. Moje poszukiwania nie dają rezultatu, wracam na tratwę. TERAZ Stefan wpada na pomysł abym poszedł z Jego komórką i za jej pomocą wywoływał swoją w okolicy wyciągania kurtki. / Trzeba tylko trochę poczekać aby się doładowała/. Idę szukać jeszcze raz wyposażony w potężne narzędzie poszukiwawcze. / W międzyczasie poinformowałem panią w restauracji i funkcjonariuszy z miejscowego komisariatu o moich danych, gdyby przypadkiem została odnaleziona i dostarczona przez uczciwego znalazcę/. Penetracja okolicy potencjalnej utraty daje rezultat, z trzecim wywołaniem słyszę odpowiedź mojej komórki pochodzącą gdzieś z zarosłej już trawy. Latarka dopełnia reszty. Zadowolony wracam na Myrdyrdę z dwoma komórkami. Stefan mimo, że zadowolony, to trochę rozczarowany – no wreszcie się zdarzyło coś PIERWSZEMU (a nie tylko Jemu, jak dotychczas) tylko, że incydent trwał zbyt krótko i niestety miał „happy end”. Nadal będziemy mogli rejestrować trasę spływu za pomocą aplikacji „Endomondo” zainstalowanej na mojej komórce...

PONIEDZIAŁEK 25.08.2014 r. Dz. 51 start SOLEC KUJAWSKI

Po wczorajszych burzliwych falach przewalających się niebem nad Myrdyrdą dziś wstaje piękny słoneczny, lecz chłodny od rana dzień. Przygotowujemy się do wyjścia na Bydgoszcz. Jest już 8.00, lekki wiaterek, ostatnie procedury przed wypłynięciem... WOPR w Solcu Kujawskim przyjął nas bardzo gościnnie i choć z pewnością nie ma tu takiego komfortu jak we Włocławku, to w Ich zatoczce czuliśmy się bardzo bezpieczni i mile widziani. Nawet tutejsi wędkarze nie mieli nam za złe, że / być może/zajęliśmy na chwilę czyjeś łowisko. !0.15 jesteśmy przed służą w Bydgoszczy. Wejście z Wisły na BRDĘ pokonujemy na znacznie zwiększonych obrotach. Mamy pod wiatr i pod prąd. Jakoś dajemy radę zacumować przy słupku w oczekiwaniu na zielone światło. Tu także pojawiły się wodorosty znane nam tak dobrze z Dobiegniewa. Trochę niepokoju przed pierwszym sluzowaniem. Czerwone światło. Czekamy. Zaczyna wypływać woda spod wrót. Za chwilę majestatycznie otwierają się wrota i z głębokiego wąwozu wypływa pchacz „Daniel” z barką.

Nadal czerwone światło. Czekamy. Stefan próbuje zadzwonić do pana służowego, niestety nie odbiera, nie wiemy czy musimy wpięć się do służowania, czy tylko czekać na odpowiednie światło? –Jest ZIELONE. Odpalam silnik wchodzimy do służy. Cała operacja idzie bardzo sprawnie i szybko. W służy przy wysokim stanie wody regulujemy należność za służowanie. Za parę minut jesteśmy już po drugiej stronie. (Oj gdyby tak mogło być we WŁOCLAWKU ! nasi następcy będą mieli z pewnością taki luksus). Mordęga zaczyna się dopiero za służą. Mamy przeciwny, narastający w porywach dość silny wiatr. Pierwsze rozlewisko BRDY z pięknie zagospodarowanym akwenem do celów sportowych, pokonujemy z jeszcze zupełnie przyzwoitą prędkością. Schody tak naprawdę zaczynają się od CZERWONEGO MOSTU – tu musimy walczyć o każdy metr, płyniemy z wysiłkiem ale jednak do przodu. O 13.30 zatrzymujemy się (mimo zakazu) przy „Inspektoracie” (wcześniej nie ma praktycznie żadnej możliwości). Gorąca herbata i coś na ząb. (zbieram trochę węgierki, które gubią swoje owoce zaraz na brzegu, są takie podobne w smaku jakie kiedyś mieliśmy w swoim ogródku...). Po krótkiej przerwie człapiemy się dalej. Prędkość minimalna, ale posuwamy się w GÓRĘ rzeki, choć wiatr nadal nam nie pomaga. Nasz silniczek dzielnie walczy z przeciwnościami, czujemy jego wysiłek, pomagamy mu czasem wiosłem, ale co to za pomoc... Przy brzegach rosną całe plantacje wodorostów, trzeba uważać by się w nich nie zaplątać. Posuwamy się powoli, wręcz majestatycznie, wyprzedzają i mijają nas wodne tramwaje. „Słonecznik to chyba ze trzy razy zdążył pokonać swoją trasę, a my ciągle na szlaku. Przechodnie idący brzegiem przyglądają się nam ze zdumieniem i wyprzedzają idąc spacerkiem. Trochę czujemy się zażenowani, ale w końcu płyniemy pod prąd. W założeniach od służy mieliśmy mieć większy silnik. Nie ma, więc musi wystarczyć to co jest. W końcu widzimy już nasze miejsce przeznaczenia. Tylko trzeba jeszcze przedostać się przez przewężenie pod mostem , tam nurt jest szybszy. Nasz kochany „Mercury” wyje jak opętany, już nic nie da się z niego wycisnąć, zdobywamy wysokość metr po metrze, jeszcze tylko kawałeczek i czujemy ulgę i inny ton pracy naszego mocarza. Jesteśmy w zatoce przy Młyńskiej Wyspie. Tu cumujemy. Niebawem zjawia się LESZEK JURDZIŃSKI, nasz starszy kolega z lat szkolnych i wspólnych początków przygody z wodą i żaglami nad Jeziorem Słupckim. Wtedy to wspólnie z bosmanem FRANCISZKIEM SZ. i powstającą drużyną harcerską wodniaków zaszczepiono nam szacunek i umiłowanie do żagli, do sportów wodnych. Do dziś pamiętamy „Kapitanke”, szlifowanie łódek przed sezonem, malowanie, przeróżne prace bosmańskie, czasem interpretowane przez nas jako dopust bosmana FRANCISZKA. Dzisiaj potrafimy to docenić, wiemy, że On wychowywał nas przez szacunek do pracy fizycznej. Kilku z nas „pozostało przy wodzie „ na całe swoje dorosłe życie – ale to już inna historia... LESZEK zaprasza nas na obiad do pobliskiej przytulnej „Młyńskiej” knajpki. Spędzamy tu czas do późnego wieczora, choć mieliśmy zamiar posiedzieć tylko chwilę. Zbyt długo nie widzieliśmy się w swym dorosłym życiu, tyle jest do opowiedzenia... W marinie korzystamy z całej gamy dobrodziejstw cywilizacyjnych, prąd, prysznic etc., etc... Kapitan mimo podjętej próby nie wyjechał, jutro rano ma lepsze połączenie do Warszawy, gdzie musi być z ważnych powodów rodzinnych. TERAZ poszedł na podgląd - BYDGOSZCZ „by night” . – Wraca PEŁEN wrażeń.

WTOREK 26.08.2014 Dz. 52 BYDGOSZCZ marina na Młyńskiej Wyspie

Dziś pobudkę zarządził KAPITAN. Wcześniej rano musi wyjechać do Warszawy w sprawach rodzinnych. Tak też się dzieje, mimo, że spał niewiele. Nie zrywam się od razu, wstaję godzinę

później, śniadanko /trzy jajeczka na miękko samodzielnie przygotowane smakują wyśmienicie/ . Mała przepierka i siadam do uzupełnień. W trakcie pracy zastaje mnie pani RENATA NIEDŹWIECKA pracownik promocji urzędu miasta. Dostarcza nam na tratwę materiały promocyjne , rewanżuję się naszymi ,już naprawdę skromnymi materiałami / niewiele mamy, właściwie to już teraz zostały nam same wizytówki/. Elektroniczny kontakt z panią RENATĄ mamy już od pewnego czasu na trasie naszej wyprawy. Wspiera nas informacjami i pilotuje na kierunku Bydgoszczy / i dalej/. Dzięki JEJ zaangażowaniu mamy zapewnione miejsce i warunki socjalne w tak pięknym miejscu jak marina na Młyńskiej Wyspie. Jest to drugi przypadek na trasie naszej wyprawy, kiedy przedstawiciele władz lokalnych osobiście odwiedzają naszą jednostkę pływającą. /Po raz pierwszy zdarzyło się to w Gminie „Lotniczej” ZALESZANY -jeszcze na Sanie/. Po miłej rozmowie przy „małej czarnej” pani RENATA ponaglana dzwonkami telefonu musi wracać do swoich dalszych zawodowych obowiązków, Na pamiątkę naszego pobytu wykonujemy fotkę, - „Do miłego spotkania na szlakach wodnych przygód”... Dziękujemy za wszystko co otrzymaliśmy od „miasta na wodzie” Bydgoszczy. W trakcie postoju w marinie spotykamy się z dużym zainteresowaniem spacerowiczów i żeglarzy. Udzielamy im wyczerpujących odpowiedzi na temat naszej wyprawy i samej tratwy. Są osoby, jak np. pan Marian Grochowski, którzy zechcieli dowiedzieć się więcej i rozmowa trwała o wiele dłużej niż przeciętnie, kończy się wymianą wizytówek, gdyż brakło już czasu by opowiedzieć wszystko. Dopiero późnym popołudniem mogę wyjść na miasto, ale niebawem wracam, bo trzeba zatankować i odebrać Stefana z dworca PKP – przyjeżdża LESZEK pomocą po raz kolejny. Wieczorem wychodzimy na piwo i spacer po Starówce i Młyńskiej Wyspie. Jest cudownie, mimo różnych doświadczeń,, miasto na wodzie” robi na nas wrażenie. NAPRAWDĘ WARTO tu spędzić trochę czasu – namawiamy do odwiedzenia tego wyjątkowego miejsca. Dodam, że ciągle tu jeszcze powstają nowe, lub są remontowane stare obiekty, co niebawem dopełni w całość piękno Młyńskiej Wyspy. Polecamy BYDGOSZCZ, polecamy MŁYŃSKĄ WYSPĘ- naprawdę warto. Gdyby komuś to nie wystarczało, to przecież za kawałeczek drogi ma jeszcze TORUŃ czy WŁOCŁAWEK... Późnym wieczorem sprawdzam jeszcze jaki nurt jest po drugiej stronie śluzy - czy damy radę iść dalej w górę rzeki. Oceniam, że tak, choć może nie będzie tak łatwo.

ŚRODA 27.08. 2014 r. Dz. 53 start BYDGOSZCZ marina Młyńska Wyspa

Wstaje piękny słoneczny dzień i w miarę ciepły. Bydgoszcz powoli przemawia narastającym szumem budzącego się miasta. My również wstajemy i szykujemy się do podniesienia cum. Idziemy podziękować do recepcji za gościnę, po drodze napełniamy nasze zbiorniki wody pitnej i w drogę. 8.30 pierwsza próba odpalenia silnika i start. 8.50 stoimy przed pierwszą tego dnia śluzą. Czerwone światło. Czekamy. Małą chwileczkę, bo zaraz zapale się zielone. Śluzowanie idzie błyskawicznie. Chodnikiem wzdłuż rzeki idzie PAN do pracy, do biura, nawiązujemy rozmowę, bo prędkości są porównywalne. W efekcie mamy następnego fana naszej wyprawy. Z ciężkim sercem PAN skręca w swoją stronę, w prawo wszak wcale nie ma chęci siadać dzisiaj za biurkiem, jest kajakarzem turystycznym, marzy mu się taka wyprawa jak nasza – niestety...Dalej powoli ale dzielnie idziemy pod prąd Brdy. 10.30 następna i 11.15 kolejna śluza. Jesteśmy dobrej myśli, idzie nam całkiem dobrze. Za czwartą śluzą zaczynają się schody, mało, że płyniemy wśród niezliczonych wodorostów, to w śrubę łapiemy jakąś siatkę pozostawioną (lub zagubioną) przez jakiegoś wędkarza. Musimy wyciągać silnik i jakoś ją wydostać spod śruby. Wcale to nie jest

łatwe. Coraz więcej zielska, pływają jego całe ruchome wyspy, nie możemy sobie z nimi dać rady. W końcu tratwa zwalnia, prędkość spada nam do zera. Nie mamy władzy nad tratwą. Stoimy. Kanał biegnie wzdłuż drogi, podjeżdża jakiś mężczyzna. Nawiązujemy rozmowę. Wymiana wizytówek. Dowiadujemy się, że jesteśmy w miejscu historycznym, przy najstarszych zachowanych budynkach z okresu budowy kanału w Osowej Górze "Kanał Kolonia A". Pan LESZEK R. chciałby jakoś nam pomóc jednak nie ma ku temu żadnych możliwości... Pogoda się psuje, czarne chmury na horyzoncie, wzmacnia się wiatr. Cóż, jak zwykle coś kombinujemy, żeby użyć tratwy, rozbrajamy naszą „pralkę”, wyjmujemy butlę ze schowka, wyrzucamy nagromadzone tam zielsko. Czym tylko możliwe wygarniamy zielsko z zakamarków. W końcu postanawiamy, że już można ruszać. Jakoś idzie, śluzę mamy w zasięgu wzroku, tylko trzeba się do niej doczłapać. Powoli myrdyrdamy się, Stefan przy sterze, ja bez przerwy wyciągam zielsko, które napływa nam pod tratwę. Przed 16.00 zaliczamy przedostatnią śluzę w Bydgoszczy, następna za 800 metrów. Niestety nie zdążyliśmy wejść przed 16-ą i musimy zapłacić podwójną stawkę za śluzowanie. Śluzę przechodzimy, lecz nie wypływamy na silniku, wyciągam tratwę na linie i cumujemy za śluzą. Akurat nadeszła ciężka deszczowa chmura, pada, zresztą zaczęło w trakcie śluzowania. Cumujemy – trzeba przeczekać deszcz i te podmuchy wiatru. Robimy sobie coś do jedzenia. Oczyszczamy tratwę. /Najwięcej tego zielska jest przed i w śluzie/. Stefan robi sałatkę, ja gotuję resztę ziemniaków, które jadą z nami chyba jeszcze z Wyszogrodu(?). Przejaśnia się – płyniemy. Na początku jakoś znośnie, ale z upływem czasu coraz wolniej i wolniej, nie daje rady z oczyszczaniem. Do późnego wieczora udaje się nam pokonać zaledwie 12 km. Na jutro zostaje nam jeszcze ponad 15 km. W trakcie walki z atakującym nas zielskiem Stefan gubi kolejną komórkę. Cumujemy przy pomości ku jakiegoś gospodarstwa, Pan pozwala.

CZWARTEK 28.08.2014 r. Dz 54 12km KANAŁ BYDGOSKIEGO

6.00 staram się obudzić Kapitana. Odzew – Ummm - i dalsze pochrapywanie, w końcu jednak wstaje, gdy już jestem po śniadaniu. Stefan robi sobie kawę, ale jej już nawet nie dopija, składamy skrzydełka tratwy. Te same problemy co zawsze przy składaniu /a miało już działać /- całkowicie nie dajemy rady złożyć. Wszystko co stwarza dodatkowy opór chowamy do wewnątrz. Możemy płynąć, tylko żenie mogę odpalić silnika, zepsuło się sprzęgiełko rozruchowe. /jakby ktoś nie wiedział to taki sznureczek podobnie jak do uruchamiania kosiarki./. Nie ma rady, wyciągamy silnik i rozpoczynamy naprawę. Procesu naprawy nie podejmuję się tutaj opisywać, dość, że czynności powtarzaliśmy kilkakrotnie, bo zawsze coś nie zagrało. Narzędzia też tylko takie jakie są, a części żadnych. Silniczek nie jest nowy, po przejściach., do tego Stefan mało co nie gubi najważniejszej nakrętki i podkładki /która zresztą jest już nędzną resztką pierwotnego kształtu/. W końcu jednak udaje się nam to jakoś złożyć. Pierwsza próba łącznie z wyjęciem i ponownym zamocowaniem silnika, /gdy wydawało się, że wszystko gra/ spaliła na panewce. Dopiero trzecie podejście sprawia, że linka załapuje w odpowiednim miejscu i „luzuje się” w odpowiednim momencie. Próba rozruchu – długo bez skutku. Dopiero za którymś razem jest jakiś odzew i linka zachowuje się prawidłowo. W końcu odpala. Idziemy środkiem kanału. Straciliśmy dużo czasu, jest około 11-ej i zaczyna wiać. Udaje się nam pokonać 2,5 kilometra, niestety tratwa strasznie spowalnia, wieje coraz silniejszy wiatr, nie mamy sterowności i nie posuwamy się nic do przodu. Nałapał się też tej wszechobecnej zieleniny pod tratwą. Decyzja – do brzegu – musimy przeczekać tą nawałnicę. Wiatr wyje w szparach naszego domku. Robimy sobie coś do zjedzenia /

jest jeszcze wczorajsza sałatka/ i uzupełniamy swoje pi sadetka. Nawatnica wzmagą się, zaczynają napływać na nas całe zielone wyspy zielska, musimy spychać je na bok aby popłynęły sobie wiatrem dalej./do śluzy/. W przerwach między wyspami odpoczywamy. Wiatr ustaje dopiero późnym popołudniem , budzę Stefana, trzeba ruszać. Odpalamy silniczek na środku kanału, gdy wydostaliśmy się z zielonej pułapki, idziemy, prędkość znośna. Tak między „chybziemi” brniemy do GORZENIA, tu zatrzymujemy się na chwilę i Kapitan udaje Siudo pobliskiego sklepu po chleb i coś jeszcze. Przynosi też dla mnie słodką drożdżówkę –jestem mile zaskoczony. Od GORZENIA nie ma już takiego zielska, wiatr ustał zupełnie, płyniemy teraz jak autostradą, prędkość przyzwoita. Nie mogło to tak być od początku kanału??? Przed samym zmrokiem dopływamy do śluzy przed Nakłem. Z tej okazji pijemy po kieliszeczku „Przemysławki „ od GRZESIA/wiemy, że kanał mamy już zasięgu reki/. Tak, tak oszczędzamy „Przemysławkę”- jest tylko na szczególne okazje – a to, że zdołaliśmy dopłynąć do Nakła, to jest rzeczywiście dla nas specjalna okazja. Jakaś przekąska, lektura, pogaduszka Stefana z Hanią przez skarpa, spanko..

PIĄTEK 29.08.2014 Dz.55 Śluza nr 8 WYSTĘP k/Nakła

Wstaje słoneczko przedzierając się przez tumany mgieł nad nakłowskimi łąkami. Z panem obsługującym śluzę umawiamy się na przejście na godz.8.00. Następna śluza za około 8 km, jest czynna od godziny 9.00, więc to nam wystarczy. Kapitańska kawa, sprawdzenie tratwy i prawie ósma.Za chwilę ruszamy. Śluzowanie jedno i drugie spokojne. Z pierwszej na drugą dochodzimy w sam czas. Po wyjściu ze śluzy, za dłuższą chwilę widzimy już z mariny wymachującą do nas DZIUNIE. /Koleżanka Stefana/ Robi nam fotki, gdy płyniemy majestatycznie kanałem. Wpływamy do mariny. Powitanie. Załatwiamy Olej /ten co kupił Stefan chwilowo odstawiamy do skrzyni/, paliwo –stacja jest tuż pod nosem. W bosmanacie Stefan załatwia formalności, za chwilę wychodzimy do miasta po kolejną kartę SIM i do bankomatu. DZIUNIA jest już zaokrętowana. Formalności załatwiamy tym razem błyskawicznie. Wracamy z drobnymi zakupami. Biją dzwony na 12-ą, gdy ponownie jesteśmy na Myrdyrdzie. Przygotowujemy się do podniesienia cum. Odnosimy śmieci do kontenera i start. Do śluzy Nakło Zachód dochodzimy bez problemu,śluzujemy.Do GROMADNA podobnie. Ale tutaj dopiero zaczynają się schody. Noteć rozdwa się – płyną zielone wyspy –makabra- przez około dwa kilometry . Dobrze, że jest Dziunia-jeden przy starze, a na dwa wiosła odgarniamy te zielska przodu tratwy.Już nie mamy sił, gdy po tych dwóch kilometrach zielone piekło zaczyna powoli rzednąć. Z każdym metrem sytuacja zaczyna się poprawiać, możemy odłożyć wiosła i zająć się przygotowaniem jakiegoś posiłku. Dziunia wywiązuje się z tego zadania znakomicie. Obiadokolacja w trakcie rejsu smakuje wspaniale. Jak dotychczas w żadnej knajpce nie mieliśmy tak smakowitego posiłku –a było tego trochę i wcale niezłe. Płyniemy doba rdzo późna. Dochodzimy do mostu na wysokości WYRZYSKA. Cumujemy już po ciemku.

SOBOTA 30.08.2014r Dz.56 most na wysokości WYRZYSKA

Wstaje mglisty ponury dzień, lekki wiaterek, /nadzieja, że to wszystko rozpędzi- tylko będzie nam przeszkadzał/ Wczoraj wieczorem „wysiadł” nam inwerter niemieliśmy prądu, nie działały komputery, Internet, nie mieliśmy światła. Dziś z rana po sprawdzeniu okazało się /Stefan/, że nie ma możliwości naprawy./ za każdym razem pali bezpieczniki/.Robimy szybki zwiad na lądzie i odbijamy. To znaczy chcemy, bo okazuje się, że siedzimy na jakimś zmurszałym kołku ochraniającym most. Po kilku próbach zejścia w końcu udaje się. Odpalam silnik. Stefan uważa, że da radę zrobić „kółko” i ruszamy do przodu. Oczywiście lądujemy w „kapuście” - Trzeba było-jak mówiłem, wyjść na środek pychem i dopiero odpalić silnik. Padł jednak rozkaz „odpalaj”-No cóż, kolejna drobna wpadka- poprawka Kapitana. Z czego to wynika tak się zastanawiam i dochodzę do wniosku, że z wrodzonej wrogości kapitana do jakiegokolwiek wysiłku fizycznego / jeżeli się myślę-zwracam honor/. Dalej spod mostu ruszamy ”z kopyta” i płyniemy z umiarkowaną prędkością. Pogoda poprawia się. Jest coraz cieplej. Śluz w Chrostkowie nie wita nas płynącym rabarbarem, co najwyżej jest trochę „posypki” tzw. kaczyńca. Nie mamy tu większego problemu. Pieski pilnujące śluz są do nas bardzo przyjaźnie nastawione. Łykamy kolejne kilometry. W końcu na horyzoncie pojawia się wieża kościoła w BIAŁOŚLIWIU. Widok ten, w różnych konfiguracjach towarzyszy nam przez bardzo długi czas. Płynie się przyjemnie. Dziunia zapewnia nam pełen serwis kulinarny. Tak to rozumiem / Stefan tak nie umie, a może nie chce się zdradzić swoimi umiejętnościami kulinarnymi?/. Właśnie mijamy 74 kilometr. Zaraz będzie most na wysokości Białośliwia /zagłębienie owocowe/. Tu mamy odebrać inwerter zakupiony przez TYGRYSA/kolega Stefana/w Pile. Właśnie jest telefon, że wyjeżdża z Piły. Będziemy czekać pod mostem. Stefan zadowolony.12.10 przebijamy się przez przybrzeżne trzcin i bagna, ciężko. W końcu sięgamy trawą /długa belka znaleziona jeszcze na sianie – wyłowiona/lądu. Czekamy na TYGRYSA – byliśmy pierwsi choć oni jadą samochodem. Korzystamy ze spaceru po lądzie.. Są. Przyjeżdża RYSIU i TYGRYS /koledzy / Przywożą wszystko co potrzebne jeszcze coś w nadmiarze. Ryszard kręci króciutki film, pije kawę. Tygrys zostaje, siada za sterem. Płyniemy. Po drodze obiad w wydaniu Dziuni. Tuż przed 90km tygrys łapie kija (unieruchamia silnik, blokuje śrubę - płynie zbyt blisko brzegu). To drobna, kolejna już dla nas przeszkoda. Za chwilę płyniemy dalej. Dziś kończymy około 19-ej. Widoki i pogoda piękna. Sama przyjemność pływania. Cumujemy przed mostem kolejowym Piła-Chodzież przy przygodnym pomoście wędkarskim na jednej z łęk 9 km przed UJŚCIEM. Dziś jest czas na spokojną kolację/ znów cała załoga Dziuni/i pogaduszki przy stoliku na pokładzie pod gołym niebem. Tutaj dociera już do nas cywilizacja, w oddali widać błyskające czerwone światła wiatraków / z Margonina?/, stukot przejeżdżającego pociągu po moście, szczekanie jakiegoś psa.. Przerabiamy wersję świetlicową na sypialną, oni jeszcze gaworzą do późna, ja idę spać. Dzwoniła HIPKA-chce ima szansę odwiedzić nas w UJŚCIU.

NIEDZIELA 31.08.2014 Dz.57 Łąka przed mostem kolejowym 9 km przed UJŚCIEM

Uaktywnił się „uchodźca” , dziś z rana strasznie hałasował. Wstajemy później niż zwykle. Trzeba przyznać, że mamy luksus, dziunia przygotowuje dla nas śniadanko /mniem, mniem/.Kapitan w trakcie pierwszej kawy wyciąga rękę po strawę ? -(i to nie duchową)-postępuje proces resocjalizacyjny?. Myślę, że należy wystąpić z projektem o środki unijne-resocjalizacje poprzez spływy tratwą na Łonie Przyrody. 9.00wszystkie procedury dochowane. Podnosimy cumy. Kierunek UJŚCIE. Za kołem sterowym ponownie TYGRYS. Kapitan „LB”/jeśli młodzi nie wiedzą to leżenie bykiem/. Dziunia prace tratwowe i uzupełnianie dzienniczka... Po dwóch godzinach

dopływamy do mostu w UJŚCIU, cumujemy zaraz za, w marinie. Samą infrastrukturę na rzece raczej trudno nazwać mariną – jakiś skromny pomości-ale jest. Niestety okazały budynek mariny zamknięty. Telefon podany na szybach okien nie odpowiada. Wokół żywej duszy. Nikt nie może nam udostępnić tak potrzebnych nam teraz urządzeń. Ustalamy telefon komórkowy do osoby, która zawiaduje tym obiektem, niestety i ten telefon milczy. Wiemy, że wewnątrz są prysznice, ciepła woda, WC, kuchnia etc. etc. cóż z tego jak nie możemy się tam dostać... Ledwo dobiliśmy a już pojawia się JAŚ, a w chwilę później RYSIU i żona TYGRYSA, JOLA. Jak zwykle coś ze sobą przywożą i to zaopatrzenie okazuje się bardzo przydatne. Miła pogawędka, wymiana wrażeń. JOLA zabiera nasze ciuchy do prania, przyjadą wieczorem z RYSIEM. JAŚ umawia się z nami na CZARNKÓW. Dziunia z ciężkim sercem /ale lekkim już plecakiem/ przygotowuje się do opuszczenia pokładu. Po jakiejś chwili pojawia się młoda dziewczynka przed trapem, biegnie w kierunku tratwy z zaparkowanego w pobliżu samochodu. Dziunia jest pewna, że to właśnie przyjechała dziewczyna z kluczem od mariny i biegnie by nam go szybciotko dostarczyć. Niestety nie zgaduje- to właśnie nadbiega HIPCIA we własnej osobie aby przywitać się z Tatusiem. Pofatygowana się ze Szczecinka ze znajomym /Maciejem/ aby zobaczyć się ze mną w trakcie tego rejsu. /miejscu najbardziej dogodnym ze względu na możliwości komunikacyjne/. Przywozi ze sobą pakiet smakowitości i to jeszcze CIEPŁYCH. REWELACYJNA zupa borowikowa oraz kluski śląskie z dużą dziurką i wspaniała wkładka z piersi kurczaka, danie dopełnia smaczna surówka z kapusty. Szacunek dla PANA KUCHARZA, który to przygotował, ma istotny wkład w dobre samopoczucie załogi na cały dzisiejszy i następny dzień. Dzięki możliwościom transportowym docieramy, po różnych perypetiach, do Pani dysponującej kluczem do mariny/ w międzyczasie nawiązujemy rozmowę z Panem Burmistrzem Ujścia, uzyskując potrzebne informacje/. Teraz zaczyna być już fajnie, choć wcale się na to nie zanosilo i kosztowało nas sporo zachodu i cierpliwości. Chwila, chwila i HIPCIA musi się zwijać, szkoda, że nie może popłynąć jeden dzień z nam. Jutro do pracyZ wieczora pojawia się na horyzoncie jachcik „Karo” –w końcowym efekcie cumuje przy boku naszej Myrdyrdy. Z załogą, Romkiem i Mirkiem/ spędzamy wieczór na żeglarskich opowieściach. Płyną z Mazur do domu /Holandii/-już trzy miesiące na wodzie, są lepsi od nas, trochę nas to deprymuje. Wieczorem podejżdza z PIŁY ponownie RYSIO. Zabiera Dziunię, przywozi gotowy filmik, który nakręcił w okolicy naszego cumowania przy moście, gdzie dostarczył TYGRYSA. Korzystając z Jego uprzejmości załatwiamy jeszcze paliwo / na rezerwę gdyby co – do Czarnkowa/. Spać idziemy dość późno.

PONIEDZIAŁEK 01.09.2014 r. Dz. 58 UJŚCIE

Wstaje mglisty dzień, nie pada i nie wieje. Mamy dostęp do mariny. Pełen komfort. Idę z komputerem do kuchni, uzupełniam kilka dni tekstu, zgrywam dane z aparatu i komórki. Gdy kończę, pojawia się Kapitan, decydujemy, że skoro nie pada to popłyniemy. Zwijamy pranie, które Dziunia wczoraj powiesiła w marinie – jest już suche. Chwilę czekamy anod naszej Myrdyrdy odcumuje „Karo” – nasi wczorajsi goście i zaraz ruszamy ich śladem. Wiadomo, nie nadążamy / mamy nadzieję, że zobaczymy się wieczorem w CZARNKOWIE. Na pierwszej służbie mają nad nami już 40minut przewagi. Dalej już nie wiemy ile, ale z pewnością ona rośnie w dwójnásób. Płynię się dobrze, choć nie ma słońca i trochę kropi deszcz. Nie ma wiatru, jest lekki nurt Noteci i to nam

wystarcza. Na trzeciej śluzie do Czarnkowa /Romanów/jesteśmy dokładnie o 16-ej. Telefonicznie uzgodniliśmy z następną w LIPICY, że w czasie gdy my będziemy do niej dopływać pan obsługujący służę wyjedzie do miasta i wróci na czas śluzowania. Płyniemy spokojnie, zadowoleni, że zanocujemy dziś znów w spokojnej i wygodnej marinie w Czarnkowie. /Podobno też jest bardzo ładna/. Krótco przed 18-ą jesteśmy w LIPICY, przedzieramy się przez wyjątkowo gęstą zupę szczawiowo-porową z posypką kaczyńca. Trudno tą zawiesinę nawet ruszyć wiosłem. Śluza niestety jest zamknięta, żywej duszy wkoło. Idę do pobliskich zabudowań, tam dowiaduję się, że jeśli po drugiej stronie przy następnych zabudowaniach będzie samochód to będzie można prześluzować. W innym przypadku trzeba czekać do rana. Czekamy. Robię kilka fotek wokół śluzy. Zmierzcha, dziś nie ma szans na płynięcie. Stefan kładzie się spać. Do Czarnkowa „rzut beretem” – Szkoda, że tylko możemy oglądać poświatę miasta. Pada deszcz, robi się chłodno i nieprzyjemnie. Uruchamiamy agregat /pierwszy raz od bardzo długiego czasu na tej wyprawie/, musimy naładować swoje urządzenia. Zauważamy ze zdziwieniem /już odwykliśmy od tego, że poziom wody może się zmieniać/, iż nasz lewy bok tratwy siedzi na kamieniach przy burcie przed śluzą. To pan z obsługi jazu /nie mylić ze śluzą – to inny pan/ on nas nie prześluzuje/ podniósł późnym wieczorem zastawki i woda opada. Próbuje nawiązać jakąś konwersację, ale skutki są mizerne. Niewiele możemy się od niego dowiedzieć. Nasze plany zostały zmodyfikowane. Nie będziemy jutro w Wieleniu. Tam też do pokonania mamy pięć śluz, ostatnia będzie zamknięta o 16-ej /jest już po sezonie/. Musimy więc wyruszyć wcześniej z rana. Ale to dopiero dalsza perspektywa. Jutro mamy dotrzeć do CZARNKOWA i czekać na JASIA.

WTOREK 02.08.2014 r. Dz. 59 LIPICA śluz nr 13.

Budzi mnie grzechotka śluzy. Pan napuszcza wodę. ... Dziś imieniny Kapitana, udaje, że nie lubi tego święta, ale tak w gruncie rzeczy miło gdy ktoś o tym pamięta.... O godzinie 8.00 jesteśmy gotowi do podniesienia cum. Po przejściu prawie godzinę oczyszczam tratwę z wodorostów, kończę przed samym Czarnkowem. Zaraz za mostem jest marina. Wpływamy. Miło. Tutaj czekamy na JASIA, który ma zamustrować z kolegą na Myrdyrdę i płynąć jutro do WIELENIA. Czas oczekiwania przeznaczamy na wszelkie uzupełnienia /szczególnie szybko teraz schodzi nam paliwo/ i wyzerowanie stanu zaległości wobec naszych fanów na facebooku. Warunki rzeczywiście są dobre. Obiekt nie jest duży ale dobrze zorganizowany, takich właśnie potrzeba na tej trasie. Miłe przyjęcie i życzliwa obsługa. O godzinie 13-ej odwiedza nas v-ce burmistrz pan GRZEGORZ KAŻMIERCZAK, interesuje się naszą wyprawą i samym pobytem w CZARNKOWIE. Rozmawiamy o marinie, wspólna fotka, wzajemne życzenia pomyślności w planach, zamierzeniach i każdy z nas wraca do swoich dalszych obowiązków. Miło nam i czujemy się docenieni za trudy poniesione na trasie wyprawy aby dotrzeć do tego przytulnego miejsca. Siąpi deszcz. Niebo zasnuwane chmurami, bezwietrznie raczej chłodno. Późnym popołudniem uzupełniamy zaopatrzenie /paliwo/, następnie wychodzimy do miasta. W trakcie telefon, ZBYSZEK MANICZ podjeżdża do mariny, składa nam odwiedziny./tutaj ma najbliżej./ Wizyta nie jest długa – czekają na Niego inne rozliczne obowiązki i sprawy do załatwienia. Kawa, fotki, pogawędka, życzenia, odjazd. W marinie spotykamy pana Janka /nie mylić z naszym załogantem/, który zna rzekę na wylot, pływał na różnych jednostkach śródlądowych. Idziemy na piwo. Rozmawiamy dość długo/ aż skończył się nam zwycięski mecz w siatkówkę z Australią/. W tym czasie nadjeżdża JAN z kolegą ŁUKASZEM. Dopijamy piwo i wracamy na Myrdyrdę. Tu rytuał powitania ŁUKASZA, /dość krótkie/ degustacje i kończymy dzień. Jutro ja zarządzam pobudkę. Marina

przyjęła nas znakomicie, dostaliśmy nawet swój klucz do dyspozycji –mamy dostęp do wszystkiego co nam potrzebne. Czyściutko, miło, przyjemnie – szkoda stąd odpływać.

ŚRODA 03.09.2014 r. Dz. 60 CZARNKÓW /marina przy moście/

Zgodnie z umową budzę się pierwszy i po porannych ‘obowiązkach’ stawiam na nogi PIERWSZĄ KAWĘ i resztę dzisiejszej załogi. Oporządzamy się dość sprawnie. Lekkie śniadanko i podnosimy cumy serdecznie żegnani przez obsadę mariny. Pogoda już teraz zapowiada się wspaniała, wieje lekki sprzyjający nam wiaterek. Pierwszy za sterem siada JAŚ i wyprowadza jednostkę z portu na szerokie wody NOTECI. Dziś płynie się wspaniale. Zaokrętowani świeżo marynarze kolejno czyszczą tratwę z „chylbi”. Wszak teraz nie uchodzi ciągnąć za sobą „farfocli”. Po wyczyszczeniu luków wracają dokoła sterowego. Do pierwszej śluzy tratwę wprowadza JAŚ, do drugiej ŁUKASZ. Po każdej oczywiście obowiązkowe czyszczenie luków. W międzyczasie kawka i ciasto przywiezione wczoraj przez ZBYSZKA MANICZA. Stara obsada ma pełen relaks, po udzieleniu odpowiednich instrukcji tylko dyskretnie spoglądamy czy trzymamy właściwy kurs i tempo. Pogoda coraz piękniejsza, dziś to wspaniała przyjemność tratowania. Załoganci spisują się znakomicie. Widać, że nawet prace bosmańskie nie są dla nich dokuczliwe a dostarczają tylko nowych wrażeń i doświadczeń. Pierwsze śluzowanie, lekko są zagubieni, w tym sensie, że trzeba podpowiedzieć jak się zachować i co trzeba zrobić. Następne śluzowania /a mamy ich dzisiaj pięć/ idą jak z płatka. Tylko w jednej ze śluz wiatr obraca nam tratwę -ale jak się okazuje jest to bardzo dobre rozwiązanie – mniej wodorostów dostaje się w nasze pod tratwowe skrytki. JAN zarządza odpalenie grilla – nie jest łatwo, bo nie mamy rozpalacza. Koniec końcem z brzegu zabieramy trochę suchych patyków i przy dzisiejszym lekkim wiatyku /w plecy/ udaje się w końcu rozżarzyć brykieta. Kiełbaska jest w sam czas przed ostatnią śluzą. w Wieleniu. Spokojnie zjadamy posiłek i dopływamy do mostu w Wieleniu – tutaj JAN i ŁUKASZ zostają wyokrętowani. Zabiera ich kolega samochodem podwożąc ponownie do CZARNKOWA. Jutro do pracy- a było tak fajnie. My płyniemy dalej – dociągamy do śluzy w DRAWSKIM MŁYNIE –o zmierzchu. Tu śpimy. Stefan idzie do sklepu.....

CZWARTEK 04.09.2014 r. Dz.61 śluza DRAWSKI MŁYN

Budzi mnie słońeczko i Uchodźca. Jest chyba coraz większy i coraz śmielej sobie poczyną. Od pewnego czasu /gdy nagle skończyły się komary/zaczynają dokuczać nam natrętne muchy. Dzień wstaje bardzo ładny, słoneczny lecz wietrzny. Ranki i wieczory są już zdecydowanie chłodniejsze. Podkrada się jesień. Idziemy po paliwo, kluczymy wśród zakoli Noteci /w przyszłym roku ma tutaj powstać elektrownia wodna/, później kawałek przez las i już. Po powrocie śluzujemy, za 1,5 godziny będziemy już na ostatniej. Tak też się stało, śluza w Krzyżu jest ostatnią na tej trasie i pozostawia po sobie pozytywne wrażenie. W świetle porannego słońca jest bardzo malowniczo, wszystko czyściutko utrzymane, trawa przystrzyżona, w różnych zakątkach poustawiane kolorowe „gadżety”, miła obsługa. Wszystko to sprawia, że zapominamy już o tym zielsku... Wiatr w plecy, nawet niesie, ciepło. Dziś postanawiamy, że płyniemy do oporu. Łykamy kolejno śluzy KRZYŻ, DRAWSKO, DREZDENKO. Do TRZEBICZA też przybywamy o „przyzwoitej porze”. Jest szansa dopłynąć do SANTOKA – o ile nie zmienią się warunki. Rzeka niesie i choć wiatr ustał nie

tracimy na prędkości. Na dwa kilometry przed SANTOKIEM zachodzi pięknie słońce. Teraz słyszymy raz po raz plusk bobrów wskakujących do wody z nadbrzeżnych krzaków. Do przestani w SANTOKU dobijamy już w o szarówce. Spełnia się procedura, Stefan z plecaczkiem udaje się do sklepu, w tym czasie zdążam oporządzić tratwę. Kolacja, „praca domowa”, szykowanie do spania. „Uchodźca” się uaktywnia, najpierw delikatnie, lecz z czasem staje się coraz śmielszy.... Jesteśmy w SANTOKU. PIERWSZY CEL wyprawy został osiągnięty. Okupiliśmy to sporym wysiłkiem, ale dopięliśmy swego. Rok temu też witaliśmy to piękne miejsce ale od strony WARTY. Wtedy NOTEĆ była nieosiągalna, nie mogliśmy jej zrobić pod prąd. W tym roku osiągnęliśmy cel z innej, z pewnością ciekawszej strony.

PIĄTEK 05.09.2014 r. Dzień .62 SANTOK

Wzmaga się ruch na moście. Czas wstawać. Dzień wstaje piękny, słoneczny, choć chłodny. Wyprowadzamy saperkę na spacer. /przytłynęliśmy późnym wieczorem, urządzenia maryny zamknięte/. Pierwsza KAWA, pierwsze śniadanko, wszystko w zwolnionym tempie, ze stoickim spokojem. Tylko te natrętne muchy nie dają nam spokoju. Jak nie komary, to muchy, jak skończą się muchy to CO? Może nowy „chrobotek”. Znów porządki na tratwie, nabierało się śmieci, sprzątamy. 9.30 wychodzimy do SANTOKA oficjalnie zakończyć nasz główny etap wyprawy. Składamy wizytę w Urzędzie Gminy Santok. Przyjmuje nas wójt gminy pan STANISŁAW CHUDZIK. Wymieniamy swoje materiały reklamowe, wspólna fotografia, dzielimy się wrażeniami ze swojej wyprawy. Poznajemy zamierzenia gminy ukierunkowane na „wodę”. Dziękujemy za kawę i idziemy jeszcze na punkt widokowy do wieży na pobliskie wzgórze. Stąd rozpościera się przepiękny widok na dolinę Warty i Noteci. 11.10 odbijamy od ostatniego nadbrzeża na NOTECI /przystań jest zaraz zarostem- jeszcze na Noteci/ po chwili wpływamy na WARTĘ. Zakładany pierwotnie cel wyprawy SANTOK –został osiągnięty. Teraz pracujemy już na „górkę”. Pogoda wspaniała, płyniemy do GORZOWA WIELKOPOLSKIEGO, tutaj ma zaokrętować się HANIA./ W warszawie na Pradze jakoś jej się nie udało/. Z upływem czasu wzmaga się wiaterek/w pletcy/.Sześćdziesiąty szósty kilometr Warty. Stefan za sterem. Relaks. Szerokość rzeki znacznie wzrosła, właściwie się podwoiła. Do Gorzowa dochodzimy o umówionym czasie. PAWEŁ już czeka na bulwarze. Pomaga nam w zatankowaniu paliwa, siada ze Stefanem pod parasolami w oczekiwaniu na Hanię. Mam do załatwienia coś w banku więc udaję się do miasta. Gdy wracam HANIA jest już przy tratwie – zostawiamy bagaże i idziemy na obiad. Jeszcze drobne zakupy, chleb, arbuz, masło, serki etc, etc. Stefan robi swoje zakupy nikotynowe i inne. Wpływamy. Za sterem siada Hania, po krótkim przyspieszonym kursie radzi sobie całkiem nieźle. Do maryny, gdzie kończyliśmy swój spływ po Warcie w ubiegłym roku, tylko kawałeczek drogi. Wpływamy / przy wejściu płyciutko – generalnie woda na Warcie niziutka/ i cumujemy. Wracają wspomnienia ostatniej wyprawy. Spotykamy ludzi, którzy pamiętają jeszcze Myrdyrdę w ówczesnym wydaniu. Miło, jak ktoś nas rozpoznaje! Tym razem w porcie jest ciasniej, widać, że marina żyje. Załatwiamy postój w bosmanacie / też jesteśmy rozpoznawalni z zeszłorocznego spływu/. To cieszy. Tu będziemy nocować. Korzystamy, jak zwykle, z dobrodziejstw cywilizacyjnych. Jest piękny wrześniowy wieczór, tylko te natrętne muchy... Kolacja. Oficjalne przyjęcie nowego załoganta. Spać idziemy dość późno./średnio/.

SOBOTA 06.09.2014 r. Dz.63. GORZÓW WLKP. (marina)

Uchodźca dziś zaspął, lub działał o wiele wcześniej. Dzień wstaje rzeński, będzie ładnie ale wietrznie. 9.00 MAREK SZOSTA z „Wielkiej Czwórki” wyprowadza nas na holu z portu, ponadto grzecznościowo udostępnia swój jacht abyśmy mogli wykonać fotki swojej tratwy w trakcie płynięcia. Dziękujemy! Salut i ruszamy w dół rzeki. „Wielka Czwórka” robi rundę honorową i wraca do mariny... Za sterem HANIA, około 11-ej zmiana –zostaje oddelegowana do zrobienia porządnego śniadania. Pływanie bardzo spokojne. Możemy uzupełniać wpisy. Całkowity relaks, wypoczywamy. Majtek radzi sobie doskonale. Rzeka jak lustro. Dopływamy do mostu w Świerkocinie. Kapitan zarządza postój. W pobliżu piękna siedziba RZGW. Tu też cumuje ich „WARTA3” stateczek obsługi rzeki. Stefan z HANIĄ idą do wsi –kawatek dalej jest sklep. Wracają po dłuższej chwili z prezentami. Przynoszą moje ulubione wafelki i lody, gwizdek i łapkę na muchy. Lody smaczne –i zimne. Odpoczywamy, w ten ciepły wrześniowy dzień lody smakują wyjątkowo. Za sterem cały czas Hania, my opalamy się i robimy zdjęcia. Dzisiejsze pływanie to sama przyjemność, kompletny relaks, nirwana dla kapitana i odpoczynku sfera dla pierwszego oficera. Około 18-ej zaczynamy szukać miejsca na postój. Cumujemy w małej zatoczce przy brzegu dużej łąki ,obok samotnej wierzby. Rozpalamy grilla(Stefan i Hania), ja preferuje ognisko na brzegu. Nadchodzi wieczór, księżyc idzie do pełni (będzie pogoda). Hania krząta się przy kolacji z grilla. Siedzę sobie na brzegu przy ognisku wspominając dawne harcerskie czasy, ogniska ,obozy i biwaki... Nagle podpływa do nas mała motorówka /chyba ojciec z synem/ i wręczają nam RYBĘ. Sporej wielkości suma – mamy przyrządzić go sobie na kolację. Dzwonię do Natalii po instrukcję jak to oporządzić – stosujemy się do wskazówek i za jakiś czas mamy rybkę z grilla / częściowo z ogniska, bo węgiel w grillu się już wypalił. Pyszna, choć wyszła trochę ostra. U nas piękna księżycowa noc , bezwietrzna, tylko od zachodu słychać odgłosy potężnej burzy i czasem błyskawice rozświetlają całe niebo, dziwne zestawienie ! Późną nocą burza podchodzi bliżej, ale nas nie sięga. Śpimy spokojnie – nie licząc krzyku przelatujących żurawi, porykiwania krów i gdzieś z okolicy niosących się po rosie chichotu- rżenia koni – być może obawiających się nadciągającej burzy?

NIEDZIELA 07.09.2014 r. Dz.64 ŁĄKA 15 km. WARTY przed Kostrzynem nad Odrą - WOODSTOK/

Na horyzoncie chmurki. Sponad nich wychodzi wielkie ,ogromne, czerwone słońce. Usiłuję zrobić fotkę (wcale nie tak łatwo, nie wychodzą wyraźnie) – idę więc dalej spać. Powietrze bardzo spokojne. Klucze żurawi tym razem lecą z pokrzykiwaniem z w drugą stronę. Wstaje kolejny dzień tratowania. Wyruszamy leniwie, około godziny 11-ej, za sterem oczywiście Hania. Zaraz na początku Stefanowi „ucieka” z ręki pych odzyskany na Sanie w przedziwnych okolicznościach. Robimy kóteczko, by go odzyskać.... Dalej już do Kostrzyna bezproblemowo, woda jak lustro. Praktycznie nie ma wiatorku, mijamy „wysp wędkarzy”- nie ma się co dziwić, dziś niedziela! - Prócz wędkarzy na trasie napotykamy na parę orłów. Jeden z nich nie miał ochoty się poderwać ze swej wieży obserwacyjnej ma wysokiej suchej gałęzi. Obserwował nas spokojnie nie okazując obawy –jedynie zainteresowanie. /lornetka to jednak dobry wynalazek/. O 13-ej cumujemy za pierwszym mostem w Kostrzynie po prawej stronie przy krótkich nadbrzeżnych schodkach.

Stefan i Hania idą na obiad. Hania jest już spakowana, dostarczamy Ją na dworzec i dalej pokonuje swoją trasę już drogą lądową / Jej żal jest głęboki jak najgłębsze nasze jeziora../ Załatwiamy paliwo i o 16.30 decyzją Kapitana odbijamy. Nie płyniemy daleko, przy ujściu do Odry na pierwszym kilometrze łapie nas burza. Cumujemy przy brzegu w sam czas. / strasznie się rozpadało, ale nie długo/ o 17.45 żegnamy WARTĘ – wpływamy na ODRĘ – rzekę żeglowną. Witają nas bojki i znaki żeglowne. Nurt przyśpiesza. Burza poszła sobie na prawą stronę. Słoneczko po lewej. 618 kilometr ODRY. Kolejna /a może ta sama burza/ przerywa nasz spływ, cumujemy na przeczekanie. Ucinam sobie drzemkę. Stefan budzi mnie przygotowaniami do wypłynięcia. Do zmięzchu dopływamy do 624 kilometra. Po naszej stronie bardzo dużo wędkarzy, po niemieckiej tylko jeden. Cumujemy w ładnej zatoczce. Wokoło znowu burze. Na kolację wczorajszy sum z grilla odgrzany na patelni. Błyskawice i grzmoty wkoło, ale u nas jeszcze nie pada. Teraz herbatka, 'praca domowa' i dobranoc... Szkoda tylko, że nie zostaliśmy w KOSTRZYNIU, mógłbym zobaczyć się z DARKIEM, towarzyszem z sudeckich szlaków...../ bardzo tego żałuję, ale jest w tym i trochę mojej winy/.

PONIEDZIAŁEK 08.09.2014v r..Dz. 65 ODRA 626 kilometr (po naszej stronie)

'Uchodźca' jednak jest, ale działa delikatniej. Wstał tak jak dzisiejszy dzień, cichutki i mglisty oraz ze słabą widocznością. Wokół niesie się porykiwanie bydła, odpowiada mu drugi kraniec – a może to tylko echo? Okolica śliczna, piękne zakola Odry, łąki na których stoją z rzadka piękne potężne suche drzewa... We mgle wygląda to wspaniale. 8.45 po niemieckiej stronie naprawiają brzeg. Z czasem wypogadza się. Napotykamy aż trzy pary orłów, są piękne. W pewnej chwili zauważmy na prawym brzegu porzuconą kotwicę, leży na starym obciętym drzewie. Klasycznie ułożona, jak wymalowana. Stefan sprawdza swoją lornetką i daje komendę „po kotwicę” – robimy kółko i podpływamy. Niestety w pół drogi nasza kotwica - odlatuje. Jesteśmy zaskoczeni i zdumieni, okazuje się, że to była opalająca się w słońcu czapla, tak pięknie pozująca za kotwicę, że oszukała nawet Kapitana.... Wszędzie w płynącym nurcie pełno patyków, kawałków drewna, musimy uważać i usuwać z drogi naszej tratwy, silnik ich bardzo nie lubi. Załapujemy jednak kilka z nich i zawsze przy takiej okazji mamy chwilę niepewności czy ponownie nam odpali. Nurt Odry niesie, idziemy na wolnych obrotach, a płyniemy ze średnią około 5 km/godz. Ciepło. Piękne pływanie. Podchodzimy do miejscowości OSIEK MAŁY, postanawiamy zatrzymać się tutaj i zrobić coś do jedzenia. Jest zatoczka – marina- wchodzimy i cumujemy. Wysoka skarpa, z wody nic nie widać co na brzegu. Po wyjściu na górkę stajemy jak wryci. Jakiś wielki jarmark, wszystko po niemiecku, - czyżby pomyliły się nam brzegi? / a po drugie to według mapy miała to być jakaś mała wioseczka zapomniana wśród łąk./ Ceny w Euro – to wszystko dla sąsiadów, którzy przejeżdżają przez most i już są w wielkim centrum handlowym. W trakcie obiadu dowiadujemy się, że kiedyś była tu duża papiernia... Tankujemy, wszystko jest bliźutko, zaraz przy rzece, to znaczy moście... 17.00 odpływamy korzystając z już przepięknej pogody. Okazuje się, że łódź nas męczy, chcemy być znów na tratwie. Odkryliśmy, że po Odrze pływają jednak barki. Dzisiaj widzieliśmy trzy i ustępowaliśmy im miejsca /na poprzednich rzekach MYRDYRDA czuła się jak królowa, tutaj zaledwie jest Kopciuszkiem/. Cumujemy z wieczorka w pobliżu BIELINKA na półwyspie bobrów. / nocne chlupanie pewne/.

WTOREK 09.09.2014 r. Dz. 66 Półwysep Bobrów przy miejscowości BIELINEK

Pan emeryt ze Stoczni Szczecińskiej, z którym wczoraj rozmawialiśmy po zacumowaniu , przyplęwa zabrać zastawione wędkę. Tym razem nie ma trofeów. Stefana nie mogę wyciągnąć na pierwszą kawę. .. Idę na spacer, w pobliskiej starej potężnej wierzbie ogromny rój szerszeni. Strach tam podchodzić, buczą na odległość... Wstaje piękny jesienny dzień. Wokół przyjemna cisza, tylko odgłosy ptaków, plus wody i skrzypienie tratwy. Pierwsza kawa, śniadanko, druga kawa, KRA, KRA , kra, popędza nas kruk – ale na nas to nie działa. Stefan spokojnie, beznamietnie pije drugą kawę. Wrzask czapli, nawet nie sięgamy po aparat. Jakoś nie chce nam się wyruszać. Został już tylko kawałek. 9.20 decydujemy się wystartować. Za nami niebawem ukazuje się wielka barka z pchaczem, zaraz nas dogoni, schodzimy jej z drogi. W okolicach KRAJNIKA zwiedzamy park./rekonstruowany/. 13.00 ruszamy dalej. Płyniemy do samego zmroku – osiągamy GRYFINO-cumujemy na plaży, przed mostem. Kawałek dalej nadbrzeże – ale decydujemy się tutaj bo nie widać już warunków panujących przy nadbrzeżu- płytko. Dziś widać było, że rzeka żyje, pływają barki, pchacze i inne jednostki... Stefan wychodzi po swoje zakupy – ja przygotowuję sobie kolację i idę spać. Pogoda się psuje. Stefan wraca późno, nie słyszę kiedy...

ŚRODA 10.09.2014 r. Dz. 67 GRYFINO (plaża przestawiamy się na bulwar)

Wczesnym rankiem jeszcze nie padało, teraz (8.30)-leje. Pada obfity, lecz drobny deszcz . Mamy się przycumować , ale czekamy aż przestanie padać. Stefan- pierwsza kawa i o dziwo siada do komputera - jeszcze na resztkach prądu. Uzupełniam pisanie, śniadanko zjadłem, gdy Kapitan był jeszcze w głębokim letargu. Czekamy na lepszą pogodę... 10-ta przestawiamy się na cumowisko przy bulwarze przed mostem. Ładne nadbrzeże, nowe, zbudowane ze środków unijnych- kolejne. Aby korzystać z prądu musimy mieć przejściówkę, nie ma jej jeszcze w marinie. Idziemy do miasta kupić. Są trudności, w mieście z elektrownią nie ma prądu – chyba jakaś awaria. Przy tej okazji zwiedzamy całe miasto. Potrzebną przejściówkę dostajemy w końcu w 'Rolmaszu'. Po drodze zaliczamy chińską jadłodajnię. Dobre nie drogie jedzenie. Wracamy na tratwę /po drodze kupuję ulubione śliweczki/ i uruchamiamy prąd do komputerów. Uzupełniamy zaległości. Pada z przerwami. Odwiedziny różnych zainteresowanych w przerwach między deszczami, rozmowy i objaśnienia zajmują nam trochę czasu. Obsługujemy też wywiad z reporterem miejscowej gazety. Wyprawa chyli się ku zachodowi.... Nawet nie mamy już chęci do opisywania tych ostatnich chwil. Popadamy w jakąś zadumę, z jednej strony cieszymy się, że wracamy na łono rodziny, a z drugiej żal, że nie obudzimy się już rankiem na tratwie gdy słońeczko zagląda przez szybę i trzeba pić pierwszą kawę /herbatkę/....Przygoda dobiega powoli końca...

CZWARTEK 11.09.2014 r. Dz. 68 GRYFINO bulwar

Mglisty dzień. Powoli realizujemy codzienne powinności. W marinie ciepła woda i wygody cywilizacyjne. „Ziomał” z Pyzdr wraz ze swoją załogą (1+3) odpływają. Zamierzam wysłać fotki Natalii na stronę i z przerażeniem stwierdzam, że w wyniku pomyłki straciłem część fotek z dni od 2 do 5- go września. Wychodzę jeszcze do miasta po kartę do aparatu i śliweczki. Po powrocie

szukujemy się do wypłynięcia na nasz ostatni etap spływu. Wcale nam nieśpieszno. Jeszcze telefon do TOMKA z lokalnej prasy /zgodnie z wczorajszą umową/, pożegnanie z miłą i przyjazną obsługą mariny i w drogę. Powoli dociera do nas, że to ostatni odcinek, szkoda, żal, choć z drugiej strony zdajemy sobie sprawę, że wzywają już inne obowiązki, że rodzina również ma określone granice cierpliwości... Ruch na rzece jak na Marszałkowskiej, barka za barką. Płynie się dobrze choć wieje lekki boczny wiaterek. W godzinach popołudniowych dopływamy w strefę marin Szczecin Podjuchy. Powoli wpływamy na jezioro Dąbie. Marin zatrzęsienie, jedna przy drugiej. Płynąc podziwiamy różnorodność i ilość cumujących jednostek. Czujemy się trochę jak Kopciuszek. Wszystko tu takie wypasione, wyglancowane, a my się tak myrdyrdamy tą naszą poobijaną i poszarpaną jednostką. Wzbudzamy zainteresowanie, to widać. Jeśli ktoś egzystuje na jachcie wychodzi na pokład i zaraz wraca po aparat lub komórkę, robią nam fotki. Cumujemy w końcu przy wolnym pomoście – według nas we właściwej marinie – ale okazuje się, że to pomost mariny sąsiadującej z naszą-docelową, gdzie mamy załatwione slipowanie. Wzmaga się wiatr. Musimy się przestawić. Jedyna korzyść z tego taka, że otrzymujemy numer telefonu do przewoźnika, który dysponuje odpowiednim sprzętem do transportu Myrdyrdy. Ustawiamy się w doku przed dźwigiem bramowym, gotowi do wyciągania. Jedziemy autobusem do miasta, zaliczamy obiadokolację i Stefan zalicza swoje wieczorne zakupy. Jest piękny ciepły wieczór, każdy z nas wybiera swój sposób powrotu do mariny. Dziś ostatnia noc na tratwie. Z czasem nasila się wiatr, zaczyna huśtać mimo, że jesteśmy za falochronem doku. Ale co tam, niech wyhuśta na zapas. Pijemy toast na zakończenie rejsu. Jutro zwijamy skrzydełka tratwy. Kończy się przygoda pod tytułem – „od Sanoka do Santoka – a może do morza”.

Jakoś wytrwaliśmy mimo mnóstwa najprzeróżniejszych przeciwności. Pomogło nam wsparcie sympatyków, serdeczność i życzliwość napotykanym po drodze przyjaznym nam ludzi...

WSZYSTKIM im za to serdecznie DZIĘKUJEMY !!!

Nie wszystko da się opisać, wiele (większość) wrażeń pozostanie tylko i wyłącznie w naszych umysłach. Może będzie kiedyś okazja by podzielić się nimi bezpośrednio?